Cena 5 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok II | Kraków, dnia 13 maja 1945 r. | Nr 24

EUGENIA KOCWA

Na meklemburskich piaskach

Na meklemburskich piaskach, w odległości 86 km od Berlina, a 120 od morskiego wybrzeża, wyrosło koszmarne miasto. Miasto baraków tak bliźniaczo do siebie podobnych, że gdyby nie kolejne numery, nikt nie mógłby jednego od drugiego odróżnić. To miejsce katorgi tysięcy ofiar z całej niemal Europy, których jedyną winą było to, że kochały swoją ojczyznę i chciały dla niej pracować. Pomieszane z zawodowymi złodziejkami, wszelkiego autoramentu zbrodniarkami i prostytutkami, napiętnowane tym samym ohydnym pasiakiem i oznaczone kolejnym numerem, kobiety stanowiące niejednokrotnie kwiat inteligencji, skazane były na ciągnącą się latami mękę.

Ravensbrück — to największy kobiecy obóz koncentracyjny. O ile w innych obozach kobiety stanowiły tylko mniej lub więcej liczny dodatek do obozów męskich, o tyle Ravensbrück był obozem przeznaczonym wyłącznie dla kobiet.

W bloku 16 mieszczą się tzw. „zugangi", czyli nowoprzybyłe. Już są ponumerowane, ale nie mają jeszcze przydziału do pracy. To najniższa kasta społeczności obozowej, tzw. „verfügbary", czyli takie co mają być do dyspozycji w miarę potrzeby. Na jednym taburecie siedzi nas po 2, 3 a nawet 4. Wejście do sypialni w dzień pod groźbą najsurowszych kar wzbronione, stanie w korytarzu wzbronione, zmiana miejsca na sali też wzbroniona. Jesteśmy przykute na godziny, dni i tygodnie do tego samego skrawka taburetu. Więzienie wydaje nam się w tej chwili szczytem swobody; gdy tylko strażnik zamknął drzwi celi, robiłyśmy cośmy chciały. Tu z szatańską perfidią opracowany system dławi więźniów ich własnymi rękami. „Sztubowa" bloku 16 to tzw. „zielona łata", czyli oznaczona zielonym trójkątem złodziejka-recydywistka, która wierna swym przyzwyczajeniom okrada współtowarzyszki, popełniając wszelkie możliwe nadużycia przy rozdziale jedzenia. Z upodobaniem też szarpie i popycha przy każdej okazji. Jej władza jest niemal równa władzy dozorczyni, a jeśli dozorczyni potrafi z byle powodu lub nawet bez powodu dla samej fantazji — kopnąć lub uderzyć w twarz, dlaczegóż by ona nie miała robić tego samego?

Siedzimy więc biedne „verfügbary". Z beznadziejności, z męki czekania i nudy ogarnia nas przemożna chęć ucieczki — ucieczki w sen. Wystarczy oprzeć rękę na stole, a głowę na ręce, aby momentalnie zjawił się sen-wybawiciel. Pogrążam się w nicość i w niepamięć — i nagle budzi ryk „sztubowej": „Schlafen verboten! Kopf hoch!" Rozmowa też zabroniona. Mimo to rozmawiamy. Początkowo szeptem, potem szept przechodzi w gwar, wreszcie w hałas, rozdzierający uszy krzyk. Nieustanny ryk „sztubowej": „Ruhe! Ruhe!" — potęguje jeszcze tę piekielną wrzawę. Krzyk ucisza się dopiero wtedy, gdy zjawia się „czerwona opaska". Jej przyjście nie wróży nic dobrego. Trzydzieści do pracy! Na ochotnika! „Verfügbary" brane są do najcięższych robót: wożenia taczek, pchania wozów z ciężarem, noszenia kamieni. Na dworze zawieja, nasze ubrania podszyte wiatrem. Choć siedzenie na bloku jest męką, nikt się nie kwapi do wyjścia. Więc „kolonka" łap za kark: jedną, drugą, trzecią, pomaga jej „sztubowa", wywołując z głębi sali te, co się jej nie podobają lub nie okupują. Jużby się i wyszło, ale jak przebić się przez tę zwartą gęstwę ciał ludzkich, jak przedostać się do szafki po żakiet i chustkę na głowę? Podłogą przejść nie sposób, idziesz więc po taburetach, depcząc po siedzących na nich towarzyszkach, przeprowadzana wyzwiskami i przekleństwami. Już dobrnęłaś do szafki, wkładasz żakiet, sięgasz po buty —— i przerażenie zjeża ci włosy na głowie: butów nie ma! Jak tu wyjść na mróz bez butów? A zresztą nie wolno. Bunkier, sztrafblok, 25 na tyłek — wszystkie te fundamenty lagrowej dyscypliny wirują ci przed oczyma z przerażającą wyrazistością — i z nich się rodzi błyskawiczna decyzja: Ktoś zabrał moje buty, no to ja zabiorę czyjeś! I już sięgasz ręką, ale okazuje się, że masz mniej szczęścia niż przywłaszczycielka twoich butów. Jakaś Niemka z ogoloną głową rzuca się na ciebie i wśród straszliwych przekleństw wyrywa ci buty — swoje buty. Z rozpaczliwą determinacją sięgasz po następne — znów to samo. A tu „sztubowa" ryczy, żeby się śpieszyć. Teraz już gubisz się całkiem. Ruchy twoje stają się niecelowe i nieskoordynowane, czujesz się jak w koszmarnym śnie, kiedy to śpiesząc się, po raz dziesiąty musisz zawrócić od drzwi, bo jeszcze czegoś zapomniałaś. Nagle przytomniejesz, spostrzegasz, że już nikt nie krzyczy i z uczuciem ulgi stwierdzasz, że cię brak butów uratował. „Kolonka", nie mogąc się ciebie doczekać, znalazła inną ofiarę.

Ale koszmar wróci, wróci na pewno przy wieczornym apelu. Apel — to najwyższa lagrowa konieczność, od której tylko śmierć może uwolnić. Albo obłożna choroba. Ale nie zawsze. Na apel trzeba wyjść w kompletnym stroju. Wystarczy pokazać się bez chustki na głowie, ażeby się narazić na niechybne pobicie przez dozorczynię. I nic nie pomoże tłumaczenie, że chustkę ktoś ukradł. Winien jest nie ten, kto ukradł, ale ten komu ukradziono. Tutaj, niby na jakimś ponurym szatańskim benefisie, odwracają się wszystkie pojęcia. To co na wolności było dobre, tu jest złe — i odwrotnie. Delikatność jest niedołęstwem, uczciwość — głupotą, a brutalność — wyrazem tężyzny. Oficjalnie zabronione jest wszystko, co może wyrażać serdeczność, lub służyć do wywołania podnioślejszych uczuć. Jak najsurowiej zakazany jest uścisk dłoni i pocałunek. Nie wolno trzymać się pod ręce, nie wolno żegnać się znakiem krzyża. Ale wolno, a nawet trzeba: krzyczeć, popychać, przeklinać, denuncjować.

Jednostki mniej odporne psychicznie nie mogą się w tym wszystkim odnaleźć, nie mogą pojąć, co się z nimi i koło nich dzieje i wpadają w melancholię. Nie rzadko widzi się na terenie lagru takie „boże drzewka", które stanąwszy pod ścianą mogą tak stać godzinami, i żadna siła ludzka nie może ruszyć ich z miejsca lub dobyć z nich głosu.

Najbardziej cierpiały w lagrze — tego niemieckiego słowa używam celowo, ponieważ z polskim słowem obóz łączą się zupełnie inne skojarzenia — otóż w lagrze najbardziej cierpiały jednostki subtelne i wrażliwe, o skłonnościach artystycznych lub intelektualnych, które nie mogły się pogodzić z tą zmorą życia tak przedziwnie wykoszlawionego, że nie można go było porównać do niczego, z czym człowiek dotychczas się zetknął. Jednostki brutalne i fizycznie silne czuły się w lagrze nie najgorzej. Robiły nawet swoiste lagrowe kariery, zostawały „sztubowymi", „kolonkami", policjantkami. Kobiety inteligentne, zaprawione do pracy nad sobą i do wewnętrznej dyscypliny, broniły się za pomocą silnych węzłów koleżeństwa; poprzez nieugiętą wierność swoim zasadom zachowały łączność ze swym poprzednim życiem, przerzucając most ponad czarną otchłanią wynaturzonej egzystencji; sublimowały cierpienie, przetwarzając je na wartości nowe. Najbiedniejsze i najbardziej godne współczucia były te duże wiejskie dzieci, o duszach jasnych, rwących się do słońca; zagubiły się w tej potworności, nie mogąc zrozumieć, za co je taka męka spotkała. Były to wielkie zbrodniarki i groźne wrogi hitlerowskiego reżymu: jedna przeszła granicę, by dostać się z powrotem do swoich, inna napisała w liście z Niemiec coś, co się władzom nie podobało, jeszcze inna uciekła z pracy, bo ją „bauerka" biła. Niektóre z nich znałam od początku i ze zgrozą patrzałam, jak się z dnia na dzień rozprzęgały wewnętrznie, jak z dziewcząt — może trochę powolnych i nieśmiałych, lecz przecie rozsądnych i miłych — przedzierzgały się w głuche na wszystko, tragiczne „boże drzewka".

Minęły dwa lata. Teraz już mamy swoje stałe kolumny. Nie jesteśmy już szarpanymi i popychanymi „verfügbarami", ale za to jak galernicy ciągniemy swoją taczkę z dnia na dzień, z dnia na dzień. Pracujemy po 12 godzin na dobę, odbywamy codziennie dwa apele robocze: ranny i południowy i dwa apele liczebne: ranny i wieczorny. Te apele wieczorne to prawdziwy koszmar, zwłaszcza dla nas, pracujących na zewnątrz. Wraca taki „aussen" (tak się popularnie nazywały z niemiecka pracujące za bramą) po 12-godzinnej harówce, zmordowany, zziębnięty, wygłodzony, często przemoczony do nitki — ciało domaga się choć chwili odpoczynku pod dachem, a tu czeka go jeszcze co najmniej 1-godzinna stójka, a często 2- i 3-godzinna, jeśli się apel nie zgadza.

Wstajemy, nawet w zimie, o wpół do czwartej w nocy. Zdaje się, że człowiek dopiero co zasnął, nieludzko zmęczonemu noc bez snów, a raczej ten fragment nocy, kiedy mu pozwolono spać, przeszedł jak okamgnienie, a tu już zrywa go przeraźliwy ryk lagrowej syreny. W tej samej chwili robi się trzask, rumor, ktoś już zapalił światło, z głębokich dziupli trzypiętrowych łóżek wysypują się, wylewają rozespane kobiety. Łapią ręczniki i zaczyna się wyścig do umywalni. Teraz jesteśmy na bloku czysto polskim. A Polki lubią się myć. Nawet w największe mrozy rozbierają się do naga, para bucha z nich jak ze zgonionych koni. Ale jest tylko dwadzieścia umywalni na 400 osób. I tylko dwadzieścia minut od syreny na wstawanie do syreny na apel. Dwadzieścia minut na umycie się, uczesanie, ubranie, zaścielenie łóżka według specjalnych lagrowych przepisów, zjedzenie śniadania, a wszystko to w niesamowitym ścisku, który pęta i hamuje ruchy.

Na pierwszy dźwięk lagrowej syreny podrywam się jak za pociśnięciem sprężyny, siadam na łóżku i cały nieskończenie długi dzień, który mam przed sobą, staje mi przed oczyma niby jakiś olbrzymi ciężar, któremu nie podołam. Ogarnia mnie lęk, więc prędko robię znak krzyża, zamiast modlitwy krótkie westchnienie do Boga, by pomógł mi ten ciężar udźwignąć — i już zeskakuję z łóżka, biegnę wraz z innymi do umywalni: tylko nie myśleć, tylko się nie zastanawiać, ani sekundy nie wolno stracić, bo już się nie nadąży. A tu ścisk, piekielny ścisk wszędzie, ani się dopchać do szafki po kubek, jeszcze trudniej z kubkiem do kotła po kawę. Pijemy, parząc się, a tu już znowu ryczy syrena.

Apel. Stoimy. Jak okiem sięgnąć długie, niekończące się szeregi kobiet w pasiakach i drewnianych chodakach, tak upodobnione do siebie jednostajnością więziennego ubioru, że przywodzą na myśl koszmarne pomysły Huxleya o ludziach produkowanych seryjnie — nie urodzonych, lecz wybutelkowanych.

Po apelu liczebnym następuje apel roboczy. Ustawiamy się w kolumny. Po bokach kolumny robocze, na środku lagrowej „verfügbary". W kolumnach roboczych są braki. To któraś zachorowała, to przeszła do innej kolumny, to znów się jakoś ukryła. Nie jest to wcale łatwe, ale pomysłowość ludzka jest wielka. Więc kolonka, której liczba musi się zgadzać, wyskakuje na środek lagrowej, łapie za rękaw pierwszą z brzega i ciągnie do swojej kolumny. Nie pomogą tłumaczenia nieszczęsnego „verfügbara", że ma rany na nogach, gorączkę lub dziurawe buty. Kolonka jest głucha na wszystko, liczba musi się zgadzać, ciągnie więc opierającą się ofiarę, tak jak niegdyś na 16 bloku. Odwracam się, żeby na to nie patrzeć. Po dwu latach pobytu w lagrze ohydny ten widok przejmuje mnie ciągle jednakowym wstrętem, jakby na przekór przysłowiu, że „do wszystkiego można się przyzwyczaić".

Wreszcie ruszamy. Pracujące w warsztatach — do swoich pracowni, my „ausseny" pod bramę. Jest godzina wpół do szóstej — w grudniu noc to jeszcze głęboka. Więc stoimy pod bramą i czekamy aż się rozwidni. Czekamy godzinę, półtorej, dwie. Wściekły nadmorski wiatr dmie prosto w twarz, drobny deszcz wytrwale siąpi. Chustki na głowach już całkiem mokre, cienkie kurtki też przemakają. Marzniemy, lodowaciejemy, zdaje się nam, że nie ma już w nas ani odrobiny ciepła, że nie zdołamy poruszyć skostniałymi członkami. Wreszcie jednak nadchodzi wpół do ósmej, gęsty mrok zaczyna się nieco rozrzedzać, jest już tyle światła, że wartownik decyduje się wypuścić nas za bramę. Maszerujemy w półmroku, pierwsze zorze zastają nas już na miejscu pracy.

Całe góry piaskowe znikają pod umęczonymi rękami kobiet, które marzą już nie o tym, aby usiąść, ale by choć stanąć na chwilę. Wystarczy jednak oprzeć się na moment na łopacie, a już się rozlega znienawidzone: „weiter machen"! Kobiety nienawykłe do fizycznej pracy, wyczerpane wielomiesięcznym pobytem w więzieniu bez powietrza i ruchu, ciągną wyładowane taczki po piachu, upadając ze zmęczenia, dławiąc się własnym sercem, które podchodzi aż do gardła. Lub służą jako „ersatz" siły pociągowej, pchając wyładowane wozy. Budują również drogi, są zatrudniane przy regulacji rzek, wykopują na bagnistym terenie pnie drzewne, stojąc po kolana w wodzie. Rozbijają kilofem betonowe obmurowania, by dawną sadzawkę zamienić na teren uprawny. Cierpią nie tylko od ciężkiej pracy, lecz bardziej jeszcze wskutek dokuczliwości współtowarzyszek, zaprawionych już do fizycznej pracy.

Stąd też pęd wśród inteligencji, ażeby się „zadekować" gdzieś w warsztacie, jakkolwiek te warsztaty, to też mordownia. Ciasno obok siebie, w kurzu i zaduchu siedzą nowoczesne niewolnice i szyją, szyją, szyją. Szyją dniem i nocą, gdyż wszystkie niemal warsztaty pracują na dwie zmiany. Jedne szyją bieliznę, inne mundury dla esesowców, inne prują zrabowane po całej Europie futra i szyją z nich kombinezony dla wojska, na front wschodni, tzw. „anoraki". Jeszcze inne kleją ze specjalnego papieru ubrania dla tych, co mimo anoraków brzuchy sobie odmrozili. Te znów plotą warkocze ze słomy, z których się robi buty. Praca w straszliwym kurzu, na stojąco, z rękami podniesionymi do góry, gdyż słomę wiesza się u sufitu, nie ustępuje najgorszym z prac za bramą. W dodatku w warsztatach, szczególnie tych, które pracują dla wojska, szaleją esesowcy. Nie ma dnia, a zwłaszcza nocy, ażeby np. osławiony Binder nie pobił kogoś do krwi, często do utraty przytomności. I to za rzeczy najzupełniej błahe: za zdrzemnięcie się przy pracy, za rozmowę, lub źle wszyty rękaw. Esesowcom nie ustępują zresztą dozorczynie. Te późniejsze, z poboru, zabrane na podstawie ustawy o wojennym przymusie pracy, są na ogół ludzkie, czasem nawet delikatne i dobre. Te pierwsze, ochotniczki, dobrze wytresowane i przygotowane do swej roli, rzucają się na ludzi jak wściekłe zwierzęta. Znana była z tego zwłaszcza niejaka Lehmann ze Śląska, która w ataku furii zakatowała, zakopała na śmierć młodą Cygankę.

„Ale widzisz — tłumaczy mi jedna z towarzyszek — w warsztacie nie grozi ci przynajmniej to, że dadzą ci pracę, której fizycznie nie możesz podołać. A gdyśmy pracowały w „ogródkach", musiałyśmy nosić takie głazy, że upadałyśmy pod ich ciężarem. A dozorczyni szczuła nas psem, żebyśmy szły prędzej. Odtąd jak ognia lękam się „aussenu".

Ja tam mimo wszystko trzymam się wytrwale „aussenu", choć nie mam fizycznych warunków. Organizm mój ani rusz nie może się przystosować do tej pracy, tak bardzo ponad jego siły; wpadam z choroby w chorobę, niszczą mnie długotrwałe gorączki. Bardziej jednak niż tej pracy ponad siły lękam się zamknięcia w warsztacie, niby w podwójnym więzieniu. Coś mnie zawsze ciągnęło za bramę. Awansowałam też kolejno z łopaciarza i zwierzęcia pociągowego na robotnicę rolną, a później leśną. W lesie ścinałyśmy sosny, niejednokrotnie po 200 lat mające, przerębywały młodniki, słowem wykonywały pracę drwali. Ciężka to była praca, aleśmy ją lubiły, gdyż cieszyłyśmy się przy niej stosunkowo dużą swobodą. Wyspecjalizowałyśmy się w tej pracy, co poniekąd imponowało dozorczyniom — możliwe też, że miały respekt przed naszymi siekierami, dość, że się do nas prawie nie wtrącały. W zimie i tu było bardzo ciężko, ale za to w lecie rozgrzany las pachniał tak cudnie i tak cudnie tańczyły na ściółce leśnej centki światła i cienia. I to nam nasz trud wynagradzało.

Jeśli zdrowe były w lagrze gnębione, to chore stokroć bardziej jeszcze. Przy pracy ponad siły, głodzie i zimnie zachorować nie było trudno. Dzień w dzień ciągnął pod rewir (tak się tam nazywało ambulatorium) długi wąż ludzki, dochodzący nieraz do tysiąca osób. Tu już można się było napatrzeć straszliwej nędzy ludzkiej. Chore, trawione wysoką gorączką, z pianą na ustach, słaniające się jak łachman, choć je trzymano pod ręce, chore o głębokich ropiejących ranach i tak cuchnących, że z odległości kilku kroków wytrzymać było trudno, gruźliczki tak wychudłe, że wierzyć się nie chciało, iż w tych szkieletach plącze się jeszcze reszta życia, obłąkane, które już stąd nie wracały, przyprowadzane przez blokowe nie dla leczenia, lecz po to, by mieć na bloku spokój, owrzodziałe i połamane reumatyzmami — przesuwały się dzień w dzień, dzień w dzień niby straszliwe oskarżenie, wołające o pomstę. Błagały, jeśli nie słowami, to wzrokiem — już nie o leczenie, bo leczenie było fikcją, a raczej wielką wygraną na loterii, którą tylko nieliczni szczęśliwcy mogli wyciągnąć, błagały o możność pozostania na bloku, by leżeć jak martwa kłoda, by tylko się nie ruszać. I często odchodziły z niczym. Lekarka wymyślała im od świń lub lekarz popychał je w przejściu. A przed moim przyjściem do lagru był jeszcze taki, który kopał chore. Opowiadały mi to osoby najzupełniej wiarygodne. Pokpiwanie sobie z chorych, to była niewinna igraszka. Czy wszyscy lekarze byli tacy? Nie, byli i inni. Obojętni. Nie leczyli, lecz i nie upokarzali. Urzędowali — brali pensję. Był nawet jeden, który zapomniał, że ma do czynienia z numerami i traktował

je tak, jakby były ludźmi. Badał, osłuchiwał, nie szczędził zwolnień od pracy. Ale tego po dwóch tygodniach przeniesiono.

Medycyna zapisała się dość smutno w naszej pamięci. Zjawienie się grubego lekarza z odległego o kilka stacji sanatorium w Hohenlychen siało popłoch w lagrze. Był to nieomylny znak, że będą potrzebne nowe króliki doświadczalne. Rekrutowały się one wyłącznie z nieszczęsnego lubelskiego transportu. Podobno wszystkie lublinianki przyjechały z wyrokami śmierci. Więc dyrektor lagru sprzedał je lekarzowi, chcącemu przeprowadzić doświadczenia nad regeneracją tkanki kostnej. Do doświadczeń brano przeważnie młode dziewczęta, wyjmowano im części kości z ud i goleni, zaszczepiano bakcyle gangreny. Niektóre zniosły to stosunkowo dobrze — na pamiątkę po tym eksperymencie na żywym ludzkim ciele pozostało im tylko trwałe oszpecenie, inne przypłaciły to życiem, jeszcze inne zostały na całe życie kalekami. Na bloku 15, trapionym ciągłymi rewizjami, gdyż uchodził za blok buntowniczek, było ich 70. Gdy po pewnym czasie zażądano dalszych dziesięciu i wezwano je imiennie do rewiru, zbuntowały się, nie chciały iść. Wzięte przemocą, uciekły z rewiru na blok. Było to w zimie. Nie wyciągnięto z tego konsekwencji. Na jakiś czas sprawa ucichła. Aż dopiero za kilka miesięcy, w sierpniu 1943 roku, koszmar znów powrócił. Znów zawezwano do rewiru 10 lublinianek, ale już nie te, co w zimie. Ale i te się zbuntowały. Oświadczyły, że na operację nie pójdą. Daremnie tłumaczono im ze strony zarządu lagru, że nie ma mowy o żadnych operacjach czy innych doświadczeniach, że są wezwane tylko na badanie. Nie posłuchały. Wiedziały, co o takich oświadczeniach sądzić. Wtedy cały blok dostał karną stójkę. Po kilku godzinach stójki zjawił się dyrektor lagru i oświadczył, że te 10, które nie chciały iść do rewiru, pójdą za karę do bunkra. Wystąpiły chętnie z szeregu. Ciemnica połączona z głodówką wydawała się im stosunkowo małą rzeczą wobec operacji, grożącej śmiercią lub kalectwem. I tam właśnie, w bunkrze, w warunkach najohydniejszych, na pryczach zamiast operacyjnych stołów, dokonano na nich operacji. Z dziesięciu uniknęła operacji tylko jedna, która z taką furią kopała i gryzła, że nawet esesowcy, spełniający rolę asystentów, dali za wygraną.

Obraz nie byłby zupełny, gdybym nie wspomniała o straszliwym głodzie, który cierpiałyśmy w okresie przedpaczkowym. Wiele z nas wyschło na szkielety, a myśl o jedzeniu chodziła za nami nieodstępna jak cień. Jadłyśmy wtedy wszystko, co dało znaleźć się na polu: szczawie i mlecze, korzonki wschodzącej brukwi i buraków, nawet słodkie korzenie tataraku. Jesienią, gdy korzonki brukwi zamieniły się w ciężkie słodkie głowy, żadne kary nie były zdolne odstraszyć nas nie tylko od jej jedzenia w polu, ale od przywożenia jej do lagru, by pożywić głodne towarzyszki z warsztatów. Woziłyśmy też ziemniaki gotowane w łupinach, którymi nas dożywiali bauerzy.

A potem przyszły paczki żywnościowe i życie zyskało zupełnie niespodziewany urok. Kto nie głodował miesiącami i latami, kto nie czuł jak sęp głodu szarpie mu wnętrzności niczym mitycznemu Prometeuszowi, ten nigdy nie zrozumie, co znaczy pragnienie, by raz się najeść do syta. Każda paczka z domu, to było uroczyste święto, to — początkowo zwłaszcza — było wydarzenie, komentowane przez cały blok.

Wkrótce się jednak okazało, że nie samym tylko chlebem żyje człowiek. Ledwośmy zaspokoiły głód fizyczny, poczęłyśmy tym dotkliwiej odczuwać głód mózgu i ducha. Już i wcześniej krążyły między Polkami — mimo surowych zakazów — strzępy literatury. Powodzeniem cieszyły się zwłaszcza wiersze. Osoby, które nigdy nie interesowały się poezją, lub też z wiekiem zainteresowanie to utraciły, uczyły się teraz wierszy na pamięć. Zrobiłyśmy rodzaj wymiany, czy też składki kulturalnej — i w ten sposób z jednego czy kilku wierszy, które ta i owa miała w pamięci, powstała jedyna w swoim rodzaju antologia poetów polskich, a nawet obcych. Teraz ten ruch nabrał rozpędu i wszechstronności. Zwłaszcza, że zezwolenie na paczki żywnościowe zbiegło się z utworzeniem czysto polskich bloków. Gdy tylko znalazłyśmy się razem, uwolnione od tyranii niemieckich kryminalistek i prostytutek, zaraz zaczęłyśmy się organizować. Uczenie się wierszy, poprzez które chciałyśmy nawiązać do dawnego życia, przerodziło się w potężny ruch intelektualny, którego żadne groźby ani kary nie zdołały zahamować. Uczyłyśmy się same i nasze towarzyszki, urządzałyśmy odczyty na tematy literackie i naukowe, dyskusje o sprawach społecznych, nawet szopki literackie w okresie Bożego Narodzenia, nawet konkursy muzyczne. Proszę wziąć pod uwagę, że nie był to „Oflag", gdzie te rzeczy były dozwolone, gdzie ludzie mieli dużo wolnego czasu i obszerne biblioteki do dyspozycji. Myśmy miały wolną tylko niedzielę — i to nie zawsze — a dysponowałyśmy tylko tym, cośmy zdołały przenieść w naszych głowach. Początkowo było to bardzo niewiele, powszechnym bowiem objawem był w lagrze zanik pamięci: historyczki nie pamiętały najważniejszych dat, geografki nie mogły sobie przypomnieć najbardziej znanych nazw. Przeżyty wstrząs zapędził to wszystko gdzieś daleko w głąb naszego mózgu. Stopniowo jednak zaczęło to wracać. Niektóre głowy okazały się wręcz bezcenne, niby biblioteki. Wielką popularność zyskała sobie wśród nas pewna Łużyczanka. Oficjalnie uważana była za Niemkę, gdyż narodowości łużyckiej Niemcy nie uznają, ale zawsze podkreślała swoją przynależność łużycką, przebywała tylko z Polkami i w lagrze nauczyła się mówić po polsku. Była to właśnie taka cudowna głowa-encyklopedia, do której zawsze można było niezawodnie sięgnąć, chociaż jej właścicielka już 10 lat była uwięziona. Za przynależność do partii socjal-demokratycznej została skazana na 7 lat więzienia, a gdy już miała wyjść na wolność, przewieziono ją do lagru. Już po mojej ucieczce, w czasie wędrówki po łużyckiej ziemi, doszła mnie wieść o jej śmierci. Tragiczna śmierć — po latach męki, w przeddzień wyzwolenia.

Wielki był również pęd do uczenia się języków obcych. Poza osobami, którym przygodnie pomagałam, prowadziłam systematycznie przez rok grupę młodych dziewcząt. Wzruszającą rzeczą było patrzeć, jak te dziewczęta, wymęczone całotygodniową nocną pracą w warsztacie, w niedzielę rezygnowały ze snu, ażeby się uczyć. Nie pomogły rewizje, którymi co jakiś czas nękano podejrzane bloki. Nie pomogły zakazy robienia jakichkolwiek notatek. Nie odstraszyły nas nawet ofiary, które dostały się do bunkru czy karnego bloku. Raz rozpętany ruch nie dał się już zatrzymać. Sponiewierane, biczowane fizycznie i moralnie, walczyłyśmy o nasze prawo do człowieczeństwa, o wolność — jeśli już nie ciała, to o wolność ducha. Z numerów stałyśmy się znowu ludźmi i nie pozwoliłyśmy się zdegradować po raz drugi. Zakazom i szykanom przeciwstawiałyśmy zdecydowany bierny opór. Nurt życia umysłowego i duchowego płynął coraz głębiej. Urządzałyśmy niedzielne nabożeństwa, rekolekcje w okresie wielkanocnym. A nagą ścianę lagrowego bloku, o którą przed tym obijały się tylko przekleństwa i wrzaski, zdobił teraz obraz Chrystusa zmartwychwstałego — niezwykła koncepcja pewnej młodej malarki z Warszawy. Chrystus, nędzarz wychudły i umęczony — taki właśnie jak my — podnosi się z ziemi mogił i krzyżów i wyciąga ramiona ku niebu.

Gdzie jesteś teraz, mała Myszko? Gdzie jesteście, drogie towarzyszki? Czy pamiętacie, jak drżałyśmy ze szczęścia i wzruszenia, słysząc syreny alarmowe i huk przeciągających nad naszymi głowami alianckich samolotów? Dozorczynie i esesowcy biegli wtedy do schronów, a myśmy się przewracały na drugi bok i zasypiały z uczuciem szczęścia. Nie lękałyśmy się tych bomb, niosących śmierć, gdyż wiedziałyśmy, że nie dla nas były przeznaczone.

Eugenia Kocwa

ZOFIA NAŁKOWSKA

WĘZŁY ŻYCIA*)

Dziunio opowiadał, co robili cudzoziemscy goście po raucie. Byli sami w Bristolu, byli też gdzieś na Starym Mieście, zdaje się, że u Fukiera na winie. Tańczyli z fordanserkami, nie mieli kobiet, ich stół stanowił odosobnioną wyspę.

— Poszedłeś gdzieś jeszcze tańczyć? — niedbale spytała Celia, blednąc śmiertelnie.

— Tak, — odrzekł Edmund zmieszany.

Kobiety, siedzące przy sąsiednich stolikach znów patrzyły na Baraza. Nie na pięknego, wykwintnego, zapiętego na ostatni guzik Edmunda Oxeńskiego, ale właśnie na Baraza, który tego nie lubił. Gdy do stolika podszedł Oczajowski, Baraz wstał i pożegnał się, mówiąc, że jest zajęty. Wyszedł z kawiarni spiesznie, i tutaj nie podchodząc do telefonu. Myślał o sobie i o Sonce. Myślał, dlaczego się to wszystko tak poplątało.

Rozdział II.

Celia Aramowiczówna chciała zatelefonować do Edmunda zaraz nazajutrz po raucie. Mógłby kto myśleć, że naprawdę tak pilno jej było podzielić się z nim zabawnym odkryciem, dotyczącym starego Wysokolskiego.

Od dłuższego już czasu, bywała w domu Aramowiczów skromna i zarazem pretensjonalna osóbka, panna Honorata Rozwielska. Przychodziła z małą, płaską walizeczką, wyjmowała z niej szpryckę Record, gotowała ją w blaszanym pudełku na gazie w kuchni i z wielką delikatnością, a zarazem zręcznie i prędko robiła injekcje pani Aramowiczowej na przemian i samemu ministrowi. Miała w tej torebce także przybory do manu- i pedicure'u, a w potrzebie gotowa była „ułożyć" paniom włosy po umyciu nie gorzej od fryzjera. Umiała też robić masaż zarówno kosmetyczny, jak leczniczy i barwić brwi henną w sposób trwały. Te jej umiejętności znajdowały w rodzinie Aramowiczów szerokie zastosowanie.

Mało się odzywała, a jeżeli to już robiła, to głosem cichym i cokolwiek przerywanym, z wielką dystynkcją, ograniczając się ściśle do rzeczy niezbędnych. Pani Aramowiczowa uważała, że jest „na miejscu" i nawet ją lubiła. Nie wahała się, zwłaszcza pod nieobecność ministra, zaprosić ją na śniadanie. Była też niezwykle ładna, co przy jej skromnym ułożeniu nie odrazu rzucało się w oczy.

Z tych niewielu jej słów można było jednak wyrozumieć, że niedługo przestanie zarabiać, że czeka ją pewna zmiana w życiu. Stopniowo ujawniło się nawet, że właściwie jest zaręczona. Narzeczony jej okazał się zwolna człowiekiem poważnym i na stanowisku. Nie mówiła kto to jest, ale nikt się co prawda tak bardzo o to nie dopytywał.

I oto nagle, przed niedawnym czasem, wyznała pani Aramowiczowej przy umiejętnym masażu artretycznych guzów na jej stopach, że człowiekiem, z którym się zaręczyła, jest mianowicie generał Jaspis Wysokolski. Ta nowina nawet ministrowi wydała się dość sensacyjna. Toteż Celia miała podstawę mniemać, że zapowiedź tak nieoczekiwanego wydarzenia w bliskiej rodzinie będzie dla Edmunda wiadomością interesującą.

Od telefonu powstrzymywało Celię nie wyrachowanie ani chęć obudzenia w Edmundzie niepokoju, ani nadzieja, że jej milczenie skłoni go do zrobienia pierwszego kroku. Ach nie. Nie łudziła się przecież ani na chwilę, że będzie oczekiwał telefonu „dniem i nocą". I on zresztą, tak mówiąc, nie myślał, że ona uwierzy. Owszem; zachowywał się czasami w taki sposób, jakby ją kochał — ale tylko dla żartu, tylko się tak na tę czułość przekornie stylizując. To samo było z jego pogróżką, że „może się przyzwyczaić". Nie uwierzyłaby nawet, gdyby mówił na serio. Nie uwierzyłaby, że tak niewysłowione, dech zapierające szczęście jest możliwe. Że w ogóle jest do zniesienia.

Nawet gdyby mówił na serio. Ale nie mówił na serio. Tak sobie tylko z nią igrał, jak z innymi.

Celia nie telefonowała dlatego, że po prostu bała się z nim zobaczyć. Bała się nawet usłyszeć jego głos w telefonie. Głos leniwy i miękki, którego nie ma nikt poza nim na ziemi. Głos zatrzymujący się przekornie i pieszczotliwie na jakichś słowach bez znaczenia — jak gdyby miały coś znaczyć. Od razu wciągający w obręb tego zaczarowania, któremu nie umiała się oprzeć, z którego nie umiała się wyplątać.

Bała się jego głosu i bardziej jeszcze słów. Bo mógł najgrzeczniej, najbardziej łagodnie powiedzieć, że nie ma wolnego wieczoru, że — ach, niestety! — jest zajęty. Mógł niebacznie, nie wiedząc, co czyni, skazać ją na czekanie jeszcze przez dzień, albo przez dwa, albo przez trzy dni. Gdy ona nie mogła wytrzymać jednej godziny!

Wracała do swego niedużego, zastawionego ciężkimi meblami pokoju, przynosiła ze sobą telefon. I siedziała tak tuż przy aparacie, postawionym na odgiętym blacie sekretery, patrzyła w hebanowe gałki czeczotowych szufladek, liczyła, że jest ich dziesięć — pięć po jednej i pięć po drugiej stronie czarnych filarków, za którymi kryły się jeszcze dwie zakonspirowane szufladki pionowe. Mały porcelanowy kałamarz w nieśmiałe kwiatuszki, obwiedziony z tyłu galeryjką, łososiowa okładka z marokańskiej skóry, wtłoczone geometryczne desenie, z sonetami Szekspira w środku, malutka Wenus z różowego kryształu na popielniczce — to wszystko widziane smutnymi oczami stawało się częścią jej myśli o nim, brało udział w tej straconej sprawie.

Bała się go usłyszeć, a co dopiero widzieć! Nie była nigdy swobodna ani pewna siebie, gdy była z nim. Przeciwnie, ogarniał ją niepokój, zamęt i lęk. To był jedyny człowiek, który budził w niej niezadowolenie z siebie. Czuła się przy nim niezręczna, wydawało jej się, że źle siedzi, krępowały ją zbyt cienkie, z wyraźnymi kostkami nogi, za duże ręce. Czuła się nieładna, nie mogąca się podobać. Czuła się winna, że jest taka. Na ten czas zrzekała się od razu wszystkich swoich atutów. Mówiła byle co, zapominając na jego widok wszystkiego, co miała mu do powiedzenia, czym miała go zachwycić, zjednać dla siebie i zniewolić. To najważniejsze ulatywało jej z głowy. Była nienaturalna, nieopanowana, trzepocąca się bez sensu. Ileż dałaby za to, by choć raz umieć go potraktować jak innych znajomych chłopców, którymi pomiatała, nie przywiązując do nich żadnej wagi, a których bez wysiłku pociągała sobą. Nie musiała przy nich myśleć, co mówi. Mówiło jej się samo najlepsze, najszczęśliwsze, celowe i trafne.

Minął dzień, minęła noc i znowu zaczął się dzień. W domu jak zwykle działo się niedobrze. Ojciec był niezadowolony, przy obiedzie zapadały długie milczenia. Nie przyznawał się, o co mu chodzi, ale Celia wiedziała wszystko, przenikała go na wskróś. Brał poważnie niepokoje, grożące w jego mniemaniu Europie. A ci, od których wszystko zależało, wydawali mu się głupi, wydawali mu się ślepi. Wychodziło na to, że po prostu nie biorą pod uwagę jego ostrzeżeń, nie słuchają jego przestróg i wskazań. Wszyscy nie mieli słuszności, miał ją on tylko. Na pozór był niezadowolony z innych, dla Celii przecież było jasne, że najbardziej męczyło go niezadowolenie z siebie. Sądziła, że trzeba mieć znaczenie wśród ludzi, owszem. Ale nie trzeba utyskiwać, gdy się go nie ma.

Tolerancja rodziców, którą doszedłszy do używania rozumu, wywalczyła sobie sama, nie zabezpieczała jej przed niedelikatnymi uwagami matki i wybuchami niehumoru ojca. Pochlebiali sobie, że są nowocześni. Nie narzucano jej projektów małżeńskich, pozwolono chodzić na wykłady, nie przypominano, co winna jest swojemu nazwisku. Z tym wszystkim działo się i u nich podobnie, jak wszędzie. W paru już utarczkach z ojcem padły te nie pozostawiające wątpliwości słowa. Że powinna mieć „szacunek dla siebie", że powinna mieć „trochę ambicji". Mogła zrozumieć, że nie pragnęli go dla niej za męża. Ale było zabawne, gdy wzbraniali mu tego, o co się bynajmniej nie ubiegał.

Te rzeczy podcinały jej skrzydła. Przeszkadzali jej, utrudniali jeszcze tę sprawę i tak dla niej ciężką.

Małą różową Wenerą zgasiła niedopałek papierosa. Myślała teraz o tym wieczorze ministerialnym, od którego upłynął już trzeci dzień. Dlaczego na Boga odeszła od niego tam na raucie, dlaczego samochcąc wypuściła go z pazurów! I tylko z daleka, śmiejąc się i przekomarzając z innymi, wodziła za nim ogłupiałym wzrokiem? Owszem, wiedziała, że ojciec jest w sąsiedniej sali, że byłoby mu nieprzyjemnie znowu zobaczyć ją z nim. Ale gniewy ojca nie były ważne. Celia śmiała się z tego, wiedząc, jak bardzo ma w swojej mocy to stare dziecko. Jej dorosłe siostry były już zamężne i miały własne dzieci. A najstarszy z rodzeństwa brat, ożeniony z cudzoziemką, większą część roku spędzał za granicą. Była właściwie jedynym dzieckiem tych starych ludzi w wielkim opustoszałym domu i dużo było jej wolno.

Nie mogła zwalać na ojca swej winy, swej niepojętej lekkomyślności. Dlaczego, gdy Edmund powiedział, że jest głodny, nie poszła z nim razem do bufetu, nie piła z nim wina, nie stała blisko niego gdzieś pod ścianą w zielonym półmroku tej sali? Mogła to zrobić, nikt nie byłby jej w tym przeszkodził. Mogła łowić jego roztargnione spojrzenie, mogła narzucać się jego uwadze, mogła... Nie szło jej o ojca, nie szło jej o cały świat. Najważniejsze było, że Edmund tak zaraz się zgodził, uznał jej głupią odmowę za wystarczającą, wcale się nie zdziwił. To już ją przecież oświeciło o stanie rzeczy, całkowicie w nim zorientowało. Nic, tylko obojętność, senne, rozmarzone roztargnienie.

Owszem, w ostatniej chwili zaciekawił się jakby cokolwiek sprawą Wysokolskiego. Łowiła go przecież na tę plotkę, usiłowała nią przyciągnąć. Śmieszne, czym ona go wabi! No, mogła sobie oddać sprawiedliwość, że weszła w to dość głęboko, że upadła dość nisko.

Żyła w tym udręczeniu każdodziennym, grzęzła w nim, oblepiona, opiła, jak pszczoła miodem. Nie broniła się wcale, cierpieć przez niego jeszcze było szczęściem. Póki tego cierpienia on był przyczyną.

No tak, odeszła po prostu, bo od tych jego słów (że „mógłby się przyzwyczaić") doznała tak dotkliwego spazmu szczęścia, że to musiała odczekać, musiała dać sobie czas, by to w niej wykipiało, by się jakoś wyrównało i uległo. Powtarzała w myśli: „nie to, ale że mógłbym się przyzwyczaić"... O Boże, czy odgadł, co to jest za ładunek rozkoszy, takie słowa... Nic na świecie nie było zdolne wzmóc tej szczęśliwości. Myśl, że on obawia się wejść w jakąś od niej zależność... wejść w jakieś swoje nad nią prawa, że byłoby mu już trudno bez niej być...

— Co tu u ciebie dymu! — rzekła ode drzwi pani Aramowiczowa. — Przecież to się można udusić.

Celia wstała w milczeniu i otworzyła okno.

— Teraz się znów przeziębisz.

— Więc co mam zrobić?

— Po prostu nie palić tyle, — nie ustępowała matka.

Celia się roześmiała.

— Ty nie nudź tak ciągle, Mu, — powiedziała, przytulając się do niej.

Matka była jej karykaturą, była nią samą, starszą o trzydzieści pięć lat. Patrząc na jej twarz, Celia czytała w niej swoją przyszłość, jak z kart.

Przeszły do jadalni. Tego dnia Aramowicz miał wizytę swego doktora i do śniadania zasiadł podrażniony. Gdy mówił o swych dolegliwościach, ton jego głosu nie wyrażał ubolewania, był raczej polemiczny. Należało rozumieć, że nie tylko dzieje mu się krzywda, ale że jest ofiarą czegoś, co dałoby się nazwać zuchwalstwem losu, jego bezczelnością. Przez czas dłuższy nie można było wszcząć innego tematu. Każdy przybierał minę przygnębioną, każdy czuł się winien lub czuł przynajmniej, że za winnego jest poczytywany.

Oprócz rodziny przy stole siedziała jeszcze panna Honorata Rozwielska. Część winy spadała i na nią, której zastrzyki nie okazały się skuteczne, a masaż odchudzający też nie dał oczekiwanych wyników.

Gdy się to jakoś wyczerpało, pani Aramowiczowa przypomniała o zaproszeniu Prezydium Rady miasta powiatowego, w którego pobliżu leżały Wrocimowice. Szło o uroczystość przemianowania ulicy. Dotychczasowa ulica Krótka miała zwać się odtąd ulicą Kościuszki.

Okazało się, że minister nie miał bynajmniej zamiaru tam się wybrać.

— Szczególna rzecz — mówił, nie tając irytacji. — Jak zrozumieć to zamiłowanie u nas do osobistości pechowych.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

*) Ciąg dalszy. Por. nr nr 13—23 „Odrodzenia".

WOJCIECH ŻUKROWSKI

Kożuch

Właśnie śnieg ustał i kasjer Cabanek, który chciał przeczekać zadymkę, wyszedł. Błysnęło rudym zachodem. Mikołaj wpiął ostatnie papiery do teczki i zasunął szufladę. Stanął przy oknie nagle pojaśniałym. W dole czworobok rynku, niskie kamieniczki, ubielone płoty, dalej ogródki pełne umarłych słoneczników, chochołów i badyli. Kończył się szabas. Żydzi otwierali okiennice, omiatali śnieg ze schodów, potem stawali w drzwiach i z oczami utkwionymi w pierwsze blade gwiazdy, czochrali się plecami o futryny. Dziewczyny skrzypiąc wiadrami na nosidłach, schodziły się do studni. Ze śmiechem spychały się z lodowego wzgórka, narosłego przez zimowe miesiące z wychlupniętej wody. Klekotały drewniane chodaki i piszczała obracana korba. Słupy telefoniczne, świecące miedzianymi drutami, długą linią wstępowały na stok pagóra. Potem przysłaniał je cmentarz pełen olbrzymich lip, dopiero na zakręcie pod samym lasem wytyczały drogę. Półkolem zamykały horyzont wapienne wzgórza, porosłe lasem, nieruchomym i posępnym. Tam krył się bandyta Wiszowaty, który tydzień temu postrzelił dwóch pocztowców i obrabował karetkę. Pomimo ogłoszonej nagrody, przyszedł wieczorem pić do karczmy Teodora. Siadł przy drzwiach, wszystkim stawiał wódkę, ale też nikogo nie wypuścił. Potem zagroził, że do wyznaczonej nagrody doda szpiclowi od siebie dwie kule z nagana. Zgasił wystrzałem lampę i zniknął między płotami.

Druga linia drutów przebiegała pod samymi oknami, słychać jak grają, prowadzą do stacji. Za tym małym budynkiem uwikłanym w kruchych akacjach, wyrasta stożek pary. Zanim gwizd uszu dojdzie, Mikołaj zgaduje, pociąg rusza. Prowincjonalnym nawykiem wyciąga zegarek, kiwa głową jak stary Moll, trzy minuty spóźnienia.

Odwrócił się. Niebo gasło. Zamykał szuflady, krążył koło biurek, ręce zataczały koła ponad rozłożonymi księgami, ale już pochłaniała go myśl o otwartej kasie. Aż znieruchomiał zaskoczony nagłą decyzją.

Tartak szedł teraz przez wszystkie dni. Na podwórzu rosły sterty desek i bali, codziennie nowe kloce przywozili chłopi na bosych sankach, korzystając z ustalającej się mroźnej pogody. Dziś sobota. Koniec roboty odgwizdano już o piątej. Kasjer Cabanek układał na stole kupki srebra i niklu. Robotnicy dymili z fajek. „Zamykać tam drzwi", krzyczał Mikołaj, gdy zbyt długo tupali na progu otrząsając śnieg z butów. „Zamykać tam drzwi", powtarzali wychodzący następnym, „panu kasjerowi muchy wlatują", drwili dobrodusznie. Mikołaj wypłacał i odbierał pokwitowania. Cabanek podparł głowę rękami i zaczął jak zwykle opowiadanie „o wielkim świecie". Mikołaj siedział przed nim, miął w rękach chustkę.

Kasjer miał stale jakieś interesy, wymagające nagłych wyjazdów i kilkudniowych urlopów. Obaj Mollowie, bracia, wierzyli mu święcie i nikt nie potrafił poderwać ich zaufania. Nawet kiedy na wiosnę przyszła z płaczem żona kasjera, brudna, zapracowana kobieta i skarżyła się, że mąż jej całą pensję w karty przepuścił. Moll zawołał Cabanka, ale ten się wszystkiego w żywe oczy zaparł. Pobrał jednak zaliczkę i żonę uspokoił. Podobno potem w domu tak ją skatował, że więcej do kantoru nie przychodziła.

— To żadne życie Mikołaju — mówił kasjer powoli — powinien pan plunąć na całą Turię i brać nogi za pas. Ileż stary wam płaci, osiemdziesiąt złotych, cóż to jest? na jedną uczciwą kolację z muzyczką nie starczy... gdybym był w pańskim wieku, zgarnąłbym skądś trochę pieniędzy i jazda do Warszawy.

Mówił „zgarnąłbym skądś", ale Mikołajowi zdawało się, że obaj myślą o otwartej kasie.

— Tak, tak, — potakiwał — niewiele odłożę, szkoda lat...

— Pewnie, że szkoda — przygładził rzedniejące nad czołem włosy — przy pańskich zdolnościach — schlebiał — łatwo się wybić, tylko trochę decyzji.

A potem, niby w wielkim zaufaniu, zwierzał mu się, jak to on kiedyś podebrał z kasy kilkaset złotych, musiał karciane długi spłacać. Ale w Warszawie na wyścigach się odbił i wszystko co do grosza zwrócił. Płacili wtedy, fuks bo fuks, po trzydzieści dwa złote za punkt. Mieć tysiączkę i majątek gotowy, szeptał, a oczy mu się świeciły jak garść potłuczonego szkła.

Potem zapala papierosa i każe pozawijać Mikołajowi resztę bilonu w rolki, kasę zamknąć, a klucze jak zwykle odnieść do domu, nakłada płaszcz podtrzymywany usłużnie i wychodzi, trzaskając drzwiami.

Mikołaj czuje się wspólnikiem w jakiejś ciemnej sprawie, której jeszcze przejrzeć nie potrafi.

Skończył szkołę powszechną i zaraz po śmierci matki zaczął pracować. Był za słaby na pomocnika wózkarza, poszedł do składu, mierzył sągi i liczył, potem dzięki kaligraficznemu pismu, awansował do kantoru.

Latem, o zmierzchu, gdy szedł przez rynek, po którym przechadzały się gromadami chichoczące dziewczęta i rośli chłopcy, mijając kobiety i starych traczy siedzących na zydlach tuż przed progiem, zbierał ukłony i uśmiechy, choć wszyscy doskonale wiedzieli, że daleko nie zajdzie. Psy tarzały się w kurzu i ogromny księżyc świecił zatknięty na wieży kościoła jak w lichtarzu.

W niedzielę na mszy z pogańską gorliwością czepiał się zewnętrznych objawów kultu, śpiewał i chodził z procesją na majowym. Wylegiwał się w macierzance nad rzeką. Nie rozbierał się, najwyżej moczył nogi. Marzył o miłości. Uśmiechał się do nielicznych letniczek. Czuł się kimś z lepszej sfery. Co go obchodziły te łatwe dziewczęta. Tłukły kijankami w rozlewiskach, lub błyskały pełnymi tyłkami rozbierając się w jałowcach i z piskiem przysiadały w płytkiej wodzie, z rękami zaciśniętymi koło piersi.

W długie jesienne szarówki, kiedy pod oknami zatapianymi deszczem wracały leniwe krowy, wiatr w liściach się tarzał, skuczał w piecach, wydmuchując wilgotny dym na izbę, — napadała go jakaś nagła tęsknota za lepszym światem. Do późna w noc czytywał z równym zapałem biblię w tanim wydaniu metodystów i sennik egipski. Wtedy obmyślił cały plan. Ze znalezionej w rzeczach matki starej ceraty zrobił kopertę, którą wszył pod podszewkę płaszcza. Potem na próbę zgarnął kilka banknotów. Czuł je przez kieszeń, piekły. Całą noc nie spał, a rankiem oddał, przysięgając przed obrazkiem św. Józefa, że to już ostatni raz. Nikt o tym nie wiedział. Zdawało mu się, że jeden kasjer coś spostrzegł, bo przyglądał mu się dziwnie lodowymi oczyma, a wieczorem zwierzał mu się ze swoich sukcesów u kobiet.

W niedzielę kładąc odświętną marynarkę, przekonał się, że mysz wygryzła mu dziurę na plecach. Uznał to za oczywistą karę za tę usiłowaną kradzież. Ale leniwe wieczory nachodziły go pokusami. Znowu zabrał dwa banknoty i ponosiwszy kilka dni, prawie chory ze strachu, zwrócił. Kasjer zdawał się uśmiechać ironicznie. Niedołęga. Gładził łysiejące czoło, myślał, ma czas, niech się przyzwyczaja...

Mikołaj czuł się teraz na wylocie, nie rozpoczynał żadnych spraw, spakował się, część rzeczy oddał gospodyni, której przebąkiwał o możliwościach lepszej posady i szybkiego wyjazdu. Ustalał sobie coraz nowsze terminy, ale gdy spojrzał w twarze obu Mollów, twarze podobne do pysków łagodnych bernardów, czuł, że nigdy nie potrafi ich zawieść. Kasjer wydawał mu się wtedy dziwnie odrażający, jakiś wyssany życiem, przedwcześnie zawiędły i zeschły.

Przychodził wieczorem do domu, rzucał się na łóżko, płakał, rozpamiętywując swoją przeszłość i surowe dzieciństwo. Nie zwracał uwagi na pukanie gospodyni, która wnosiła lampę i dymiące kluski na mleku. Przysiadała na skraju łóżka, trącała go lekko w ramię. Lubił jej spokojny głos, gdy go napominała, żeby więcej dbał o siebie i zabierał się do kolacji, zanim wystygnie. Ale inaczej zaczął patrzeć na tę jej troskliwość, gdy którejś nocy usłyszał za ścianą, jak go wyśmiewała przed sąsiadem ogrodnikiem, a potem ich obojga nocną sprawę.

W ostatnich tygodniach miał prawie ataki tęsknoty. Lękał się, że może to ostatnia okazja wyrwać się z Turii. Nigdy nie czuł się taki obcy i samotny. Po przepracowanym dniu nie mógł usiedzieć w małym ciemnym pokoju, dusznym od zapachu zaparzonych mebli. Coś przynaglało. Zrywał się, żeby już... Wychodził w noc i smagany śnieżycą, patrzył na budynek stacyjny, mrugający kołysanymi w wietrze latarniami. Uciekać zanim wrośnie w ten światek, zanim zniknie w nim reszta buntu. Raz zachłysnąć się życiem wielkiego miasta, którego blaski roztacza przed nim Cabanek. Kasjer śnił mu się nocą w cylindrze, z białą chryzantemą w klapie i gestem prowincjonalnego sztukmistrza odsłaniał coraz to inne rozkosze.

Zdecydował się nagle, właściwie ta decyzja spadła na niego tak, że chwilę stał zaskoczony, że to właśnie dziś zacznie wykonywać plan, którego każdy krok był od dawna obmyślany.

Zamknął szuflady. Przeliczył pieniądze. Z wypłaty zostało czterysta dwadzieścia złotych. Niewiele, ale i ta suma wydała mu się ogromna. Schował pieniądze do sekretnej kieszeni płaszcza. Zamknął kasę. Z ogromnym spokojem zgasił światło i wychodząc przeżegnał się, jakby wyruszał w podróż.

Było już prawie ciemno. Ostro pachniało cierpkie drzewo. Pies szczekał, wlokąc łańcuch zgrzytający na długim drucie, rozpiętym między szopami. Jedna żarówka świeciła się na placu, druga oszczędnościowa oświetlała napis: Tartak i Skład Drzewa B-cia R. A. Moll. Brał mróz, kiedy oddawał klucze stróżowi od kantoru, surowo nakazując, żeby je zaraz odniósł kasjerowi.

Minął narożny szynk Perkowskiego. Harmonia wybiegała aż na ulicę, robotnicy powtarzali refren, przepijając pozostawione im przez żony resztki tygodniówek. Domki przysiadły w drzewach, płoty podparły się szkarpami zasp. Gałęzie klekotały tratowane tętentem wichury. Dopiero za ostatnimi zabudowaniami zobaczył, jaką ciężką będzie miał drogę. Wiatr zdmuchnął śnieg, przetarł szosę, pod czerwoną smugą zachodu — świeciła. Górą skamlały druty. Widać stację, z lokomotywy czerwony blask i cienie maszynisty nad paleniskiem. Przetokowi na bocznicy machają latarkami. Żółte naftowe światła. Nie pojedzie stąd nocnym pociągiem, zaraz by wiedzieli, dokąd kupował bilet. Przejdzie te siedm kilometrów do przystanku Tatarów, gdzie nikt go nie zna i nie spamięta. Pochylił się, wiatr szarpał go za płaszcz, skakał na piersi, obijał się pod nogami. Teraz dopiero zauważył, że zapomniał prawej rękawiczki. Przystanął. „Nie dobrze zawracać, wytrzymam, — pomyślał, — w lesie nie będzie tak wiało".

Zaraz przekonał się, że wytrzymać nie tak łatwo. Śnieg ścinało po wierzchu. Okruchy lodowe szeleściły ścigając się smugami kurzawy. Wargi mu wyschły i spękały. Mróz piekł rękę jak ogniem, wcisnął ją do kieszeni, przebierał szybko palcami, nie pomagało. Zdawało mu się, że stoi nagi w słupie płomienia. To lodowy wiatr ciasno go owinął. Chciało mu się pić jak zwykle na mróz. Śnieg zbity w kryształy nie gasił pragnienia. Przymykał oczy, ostre podmuchy sunące tuż nad ziemią kłuły w policzki jak szpilki.

Ciemną plamą zbliżał się cmentarz. Było cicho, tylko górą huczały w nieustannym szumie wysokie konary lip i na żelaznym krzyżu, pomniku poległych żołnierzy, hałasowały blaszane wieńce. Może by zobaczyć grób matki, pomyślał, nie wiadomo kiedy tu wrócę... Furtka nie chciała się otworzyć podparta zaspą. Chwilę mocował się, wreszcie udało mu się wcisnąć. Po kolana w śniegu brnął znajomą alejką. Nakruszone wichurą gałęzie łamały się pod nogami, wlokły uczepione płaszcza. Poznał krzyż brzozowy i zgiętą blachę z nazwiskiem. Z ogromną czułością gładził zeschły, nastroszony wianek. Nasypało mu się śniegu do butów, topnieje. Teraz napływał strach. Z czymże do niej przyszedł? Stał na palcach, bał się poruszyć, żeby nie obudzić śpiącej. Z góry trzask gałęzi i brzęk blach. Cofał się tyłem. Ciemność ma oczy otwarte, czuł kamienne spojrzenie umarłych. Biegł do furtki, szarpnął klamkę. Już za murem dyszał ciężko w skostniałe palce. Wiatr przyniósł odgłos strzału, potem drugi. Nadsłuchiwał, znowu kilka grzmotów oddanych przez las. Polowanie, pomyślał, wzruszając ramionami, obława? Może Wiszowaty zakopany w jednej z smolarń, zapowiada, że wychodzi na łowy. Niechże się nim policja zajmie, będę spokojniejszy. Wtem za plecami wystrzał. Mikołaj przypadł do muru, spocony słuchał, lipy szumiały. To wiatr zatrzasnął okutą furtę cmentarza.

Poprawił szal i zanurzył się w lodową topiel, przepływał wpław, wymachując rękami, mocne strumienie wichury.

Daleko przed nim mżyło się jedno jedyne okno na Wapienniku. Zagłębił się w wezbraną noc.

Teresa siedzi oparta o poduszkę, wsłuchana w harce śnieżycy. Niepokoi się o Ulę. Poszła mała i nie wraca. Zwykle ktoś ją podwoził, była to pora wieczornego pociągu. Może musiała dłużej na lekarstwo czekać. Króliki cupkają po podłodze, rozgrzebują łupiny kartofli, szukają marchwi. Czasem wiatr buchał łbem w ściany, aż westchnienie przebiegało izbą i giął się płomień lampy. Na krześle lichtarz, książka do nabożeństwa, szklanka z kodeiną. Rano było jej lepiej, mimo osłabienia, jak zwykle po krwotoku. Odwiedziny tych z miasta — „zobaczy pani, aby do wiosny przetrzymać, potem na słonko i zaraz pani ozdrowieje, i tak dużo lepiej pani wygląda". Kiedy tak w oczy chwalą chorego, musi być z nim źle. Teresa straciła dawno nadzieję. Rzuciła posadę nauczycielki, żeby czuwać nad stryjem. Poszło szybko. Teraz sama zajmuje się Ulą i gospodarstwem. Duży szafkowy zegar tyka. Kowaliki uderzają młotkami, liczy: osiem, uniesione w górę młoty nieruchomieją. Ósma, myśli, późno. Wiatr, jak niewidomy rękami szyby tłoczy, wodzi palcami po belkach, szamoce się z klamką. Nie, ktoś puka.

— Otwarte, — woła — otwarte!

Ktoś trzaska drzwiami, potyka się o cebrzyk. Obcy, bo wszedł i spłoszył kury posadzane na bantkach w sieni, w przewidywaniu mrozu.

— Można się ogrzać? — pyta, otrząsając śnieg.

Skinęła głową, ten niezgrabny chłopak budził w niej zaufanie. Króliki spłoszone przelotem zdejmowanego płaszcza błyskały czerwonymi oczami spod łóżka.

— Idę do Tatarowa na przystanek.

— Dobry wieczór — przypomniała mu — daleko na taki czas.

— Dobry wieczór, człowiek na tym mrozie głupieje, ale to już połowa drogi. Tam matka na mnie czeka — skłamał — pewnie niepokoi się.

— To tak jak ja — zwierzyła mu się ze swego lęku o Ulę.

— Przecież nie puszczą jej samej, musi przeczekać — uspokajał ją Mikołaj. Ręce powoli tajały, paliły jak zanurzone w ogniu.

— Ula jest taka uparta — zaczęła, a potem przeszła na własną chorobę i jakieś wspomnienia z dzieciństwa, których nie mógł zrozumieć. Mówiła coraz ciszej, w pewnej chwili zdawało mu się, że usnęła. Nagle jeden z kowalików uderzył w kowadło. Spojrzał. Wpół. Jeżeli chce zdążyć na nocny pociąg, musi już iść. Ogarnął go strach na myśl, że trzeba dalej błąkać się w tej nocy. Było cicho. Mróz przybierał, bo dyle trzaskały raz po raz. Zamarznę, pomyślał. Naprzeciw na ścianie wisiał szeroki, barani kożuch.

Wstał. Skradał się do łóżka. Nachylony badał jej sen. Teresie zdawało się, że czuje jego oddech. Leżała nieruchomo. Uspokojony odwrócił się. Gdyby teraz poruszyła się, na pewno byłby się cofnął, ale ona patrzyła na niego z ogromną litością spod przymkniętych powiek. „Niech sobie weźmie — pomyślała — i tak nie wiele już wart. Zdaje ci się, że go kradniesz, a właśnie ja ci go ofiaruję, weź" — myślała, wstrzymując oddech. Dobrze, że nie powiedziała tego głośno, bo może wybuchnąłby płaczem, albo zaskoczony jej głosem, z właściwą tchórzom gwałtownością, byłby skoczył do niej gotów na każde szaleństwo. Zasnęła — pomyślał, i to go uspokoiło. Uchylił drzwi i zanim je zamknął, zobaczył jej oczy szeroko otwarte i wybaczający wszystko uśmiech.

Byłby upadł. Obok furtki stała pusta psia buda. Dalej nie uciekał. Nikt go nie ścigał. „Ona wszystko widziała" — wyszeptał. Niebo było wyiskrzone. Chłód stał jak z metalu, śnieg ostro skrzypiał.

Pójdzie teraz w stronę miasta, może mała będzie wracać. Odprowadzi ją do wapiennika, rano pieniądze włoży na powrót do kasy. Co ja jestem temu winien, myślał uspokojony. Zdawało mu się, że już wszystko przeżył, co mu było przeznaczone na tę noc. Odpruł ceratową kopertę i ukrył z pieniędzmi pod słomą w głębi psiej budy. Nie znajdą. Schodzi ku Turii szybkim krokiem. Nałożony na płaszcz długi kożuch, grzeje i otula miękkim futerałem. Przystanął chwilę jakby w skupieniu nadsłuchiwał dalekiego głosu. Gwiazdy świecą wilgotno.

Czuje ogromne zadowolenie, że najgorsze jest za nim, teraz wszystko powoli będzie wracać na dawne miejsca. Zaczyna gwizdać.

Idąc tak środkiem drogi, zobaczył Ulę. Wziął ją za krzak jałowca, ale biały pleciony koszyk, który przekładała z ręki do ręki, zdradza.

— Nie bój się mała — powiedział opierając dłoń o jej ramię. Czuł jak drży.

— Zmarzłaś? — zapytał.

Potrząsnęła przecząco głową. Bała się. Od cmentarza modliła się, przejęta jakąś grozą. Kiedy stanął przed nią ogromnym czarnym słupem, była pewna, że ją zabije. Tak jak musiał zabić Teresę, poznaje metalowy guzik kożucha. Nawet pachnie jeszcze domem. Zabił Teresę i okradł. Wyrywa się, ale rozumie, że nie ucieknie, idzie teraz pokornie i zrezygnowana. „Aniele Stróżu — szepcze — daj, żeby to bardzo nie bolało..."

Zaraz małą odprowadzę, myślał Mikołaj, potem zrzucę kożuch i powiem: „Pani myślała, żem ja ukradł, a ja chciałem tylko dziecku wyjść naprzeciw. Pani spała, nie chciałem budzić". Będzie grzał plecy oparty o piec i śmiał się z ich zdziwionych twarzy. A jutro... Jutro zacznie się inne życie. Nagle uderza go niezwykłe podejrzenie. Jutro musi sprawdzić księgi. Zaczyna już coś rozumieć. „Więc to tak panie Cabanek, to ja mam zapłacić za pański „wielki świat" — myśli zaciskając pięści.

Wtem za zakrętem błysnęło białe światło karbidówek, brzęczało żelazo nadjeżdżających rowerów. Dziewczynka wyszarpnęła mu się z ręki, biegła w środek blasku.

— Wiszowaty — krzyczała, w krzyku tym wyzwalał się cały tłumiony strach. Policjanci zeskoczyli z siodełek. Czepiała się ich rękawów. — Zamordował ciotkę, ma nasz kożuch... Tam!

Mikołaj ogarnięty niezrozumiałym strachem przeskoczył rów. Teraz darł się pod stromy stok, wiedział, że tu nie podjadą. Zapadał się w śniegu, kożuch plątał mu się pod nogami, wlókł po zaspach, zawadzał. Był widoczny dużą plamą na jasnym stoku. Mikołaj łapał się splątanych prętów jeżyn. Była cisza. Słyszał jak na grabinach szeleściły ostatnie zeschłe liście.

— Stój, — krzyczał policjant, drugi klęczał złożony do strzału. — Stój, bo strzelam!

Mikołaj stanął na szczycie. Trzecie wołania doszło go strasznie zdaleka. Zwieję, pomyślał i w tej chwili otrzymał dwa uderzenia w plecy, potem usłyszał trzask strzałów. Coś mu ciepło pękło w płucach. Padł na kolana, powoli chylił się do tyłu, rękami czepiał się pierwszych krzaków. Gałęzie wysunęły się z palców i potoczył się w dół na dno rowu. Czuł jeszcze jak śnieg, w którym zanurzył twarz, topi się, przejmując go chłodem.

Podbiegają błyskając latarkami. Starszy obraca go do światła. Podnosi barankową czapkę i uderza zabitego po twarzy, otrzepując śnieg nasiąknięty krwią.

— To chyba nie on, — mruczy — wygląda za młodo.

— Czemu uciekał? W swoim prawie byłeś, mogłeś strzelać.

Podchodzą teraz do dziecka, które stoi nieruchomo, obok porzuconych rowerów.

Ula klęczy przy łóżku i opowiada Teresie swój lęk o nią i własny strach. Policjant zdjął czapkę, rozpiął kołnierz, przerzucił kożuch przez ławę. W tych odczłowieczonych kształtach, zwieszonych rękawach nadmiar smutku.

— Byłby mi drań uciekł, — mówi — już był na wierzchu, celowałem tam, gdzie mi gwiazdy zasłaniał. Dobrze dostał, — pokazuje dwa otwory na wysokości łopatki, jeden trzy palce nad drugim.

— Ale za co, za co? To nie mógł być zły człowiek...

Teresa jeszcze chce coś powiedzieć, ale tylko wypręża się i długo kaszle.

— Widać było mu pisane, kożuch ukradł, kto go wie, co za ptaszek...

— Kożuch ja mu dałam — krzyczy przez łzy Teresa. Dziewczynka przytuliła się do niej, samym gestem chce uspokoić, a policjant nie mogąc znieść jej obłąkanego spojrzenia, opuszcza głowę.

Śnieg przylepiony do butów, topi się na deskach brudną kałużą.

MIECZYSŁAW WIONCZEK

„Dulary" i szubienice

Zakopane, w maju.

Kwiaty zerwane w podwrocławskim ogródku zwarzył na Obidowej mróz. Zakopane przyjęło mnie tym samym chłodem, jakim żegnało mnie przed sześciu tygodniami. „Dolscy ludzie" odpłynęli. Podhale zostało samo ze sobą, ze swym wichrem, wodą i głodem. Tylko ponad wyludnionymi budowlami Zakopanego i zatłoczonymi chałupami podhalańskich wsi unosi się opar, którego nie było tu przed wojną. Nie, był już i wtedy, ale przez te pięć lat zgęstniał tak, że nie trzeba wrażliwości, aby go odczuć. To opar antagonizmów między Podhalem a ludźmi „z dołu", ciąg dalszy dawnego antagonizmu między góralami a lachami, którego owocem jest dziś ponura legenda wojennego Podhala, roznoszona po całym kraju przez tysiące ludzi „z dołu", przez przypadek rzuconych pod Tatry po warszawskiej katastrofie. Kiedy teraz na przedwiośniu zeszli w dół, wynieśli z Podhala tylko pamięć szubienic na Kościeliskiej i „dularów", żądanych od wygnańców przez gaździny za miarkę masła i mąki. I powiadają sobie i otoczeniu — niech przeklęte będzie Zakopane!

Sąd o Podhalu gotów przez swą powszechność mur jakiś postawić między potomkami Janosików i Sabałów a nami, ludźmi z nizin. Nowy mur wewnątrz narodu, który i tak jest doskonałą pożywką dla hodowli antagonizmów i hoduje ich co niemiara; zjawisko to niepożądane, do powstania jego nie należy dopuścić. A teraz, kiedy zmieszane ze sobą płyny uległy rozdzieleniu, kiedy ludzie z gór zostali z górami, a ludzie z dołu na dół powrócili, łatwiejsza to sprawa.

*

Gdyby śpiący rycerze Tatr chcieli przysługę swej ojczyźnie wyświadczyć, powinni byli ubiegłej jesieni w grocie jakiejś Kościeliskiej Doliny wydrukować wielką ilość Witkiewiczowskiej „Na przełęczy", a potem podrzucać je pod drzwi każdego na Podhalu domu, do którego zawitał wygnaniec z płonącej Warszawy. Nie należało tego robić natomiast z tetmajerowską „Legendą Tatr"; Podhale Tetmajera to starożytność bajeczna, której obraz mąci perspektywę dzisiejszych czasów, a Podhale Witkiewicza to Podhale żywe. Wiele odbyłem wędrówek po Podtatrzu tej zimy i dzisiejszy lud jego bardziej podobny jest postaciom z drzeworytów Kulisiewicza niż Skoczylasa. Od Tetmajera i Skoczylasa do Kulisiewicza i Naprawy Kurka, oto droga ludzi z gór i spod gór. Z dawnych zbójnickich czasów strój jeno został, nakrywający nędzę okrutną i honor góralski, wypowiadany śpiewką:

Dana, moja dana,
nie pójde za pana.
tylko za takiego
jako i ja sama!

Ci z dołu widzieli ludzi Podhala oczami lektur młodzieńczych, ci z góry patrzyli na przybyszów z dołu tak, jak patrzyło się na nich przez ostatnie lat czterdzieści — na bogatych ceprów, co dawniej reńskie, a potem złote na powietrze ostre a zdrowe i uroki Tatr wymieniali. Te dwa nieprawdziwe obrazy dwóch światów najwięcej w jątrzących się konfliktach zawiniły. A naprawdę ci z góry żyli powietrzem, wodą i głodem, a trudny żywot sprawił, że „mało byli przeciętnie serdeczni, a bezinteresowność i wdzięczność nie była przymiotami w ich naturze" — jak pisał Witkiewicz. Ci z dołu, choć przetkani rodzynkami fortun i luksusu, nędzą równali się ludności góralskiej nieledwie. I jak przez wieki całe, tak i w piątym roku wojny zostały sobie obce światy „panów" i górali, nieprzenikliwe dla siebie nawzajem, bo wielkich trzeba wysiłków, aby ceper swoim tu został.

Gęstość zaludnienia Podhala po odliczeniu powierzchni Tatr wynosi ponad dwieście ludzi na kilometr kwadratowy, co równa się gęstości zaludnienia obszarów przemysłowych. Tego nie wiedzieli i nie musieli wiedzieć dawni pasażerowie pociągów narty-bridge, ale to decyduje o kształtach podhalańskiej rzeczywistości. Trzeba być uznanym za swego, aby dotrzeć do „skarbów" zawartych w skrzyniach białych izb góralskich chat. Tam, gdzie dawniej przechowywano królewskie i starościńskie nadania polan górskich na pastwiska i wyrobiska, dzisiaj leżą związane sznurkami pliki gryzmoł — listów z daleka. Przez czterdzieści lat pięćdziesiąt tysięcy górali, nadmiar ludzki Podtatrza — wyciekło do Hameryki. Nucący podczas spacerów po Krupówkach słowa „Góralu, czy ci nie żal", syty dawniej, dziś głodny warszawiak nie uświadomi sobie nigdy, ile za tymi słowami kryło się pierwotnych namiętności tych tysięcy górali, co musieli zejść w dół.

Listy „hamerykańskie" tyle mają wspólnego z paczkami listów o różowych wstążeczkach z sekreter naszych babek i matek, że są to też listy miłosne. Tylko miłosne w inny całkiem sposób. To listy miłosne Bachledów, Gąsieniców i Jarząbków do ich kamienistej ziemi, wysyłane na ręce tych Bachledów i Gąsieniców, którzy zostali.

Poszli do Hameryki tym samym traktem przez Obidową, którym przed trzystu laty „pracowity Jędrzej Jarząbek ze wsi Bańska, przyszedłszy do Warszawy do Zygmunta III króla polskiego w sobotę przed św. Wojciechem w roku tysiąc sześćsetnym trzydziestym upraszał, aby mu polany Żywczańskie zwanej we wsi Zakopane ograniczenie czyli cyrkiel wydać". A że wszystkie polany do połowy wieku poprzedniego ograniczono czyli wycyrklowano, więc exodus w świat trwać musiał.

Nowe chaty, poza tymi, które fiakry z Zakopanego stawiać mogli, to chaty budowane za „hamerykańskie dulary" emigrantów i reemigrantów. W tych zawiłych wojennych czasach, kiedy nawet ludziom oświeconym trudno się było w świecie rozeznać, dla starszego pokolenia góralskiego „Hameryka" ich ojców i braci, dziwny i wielki kraj, z którego listy „dulary" przynosiły, musiała być jednym z niewielu stałych punktów na falującym horyzoncie wydarzeń. Nic też dziwnego, że w chwili, kiedy najciemniejszy nawet wioskowy analfabeta poczuł, że coś się w świecie zmienia, kiedy Niemcy z Podhala uchodzili, a nowy porządek niejasny był dla ludzi odciętych od świata pagórami Gorców i pięcioletnim pobytem bandyckich żandarmów na wylotach dróg wiodących w dół, punktem oparcia stały się „dulary". Hameryka jest wielka i potężna, „dular" to kawałek Hameryki, o który można się oprzeć w kołowrocie wydarzeń. I tutaj myślący prymitywnie człowiek z gór trafił na tę samą platformę, na której znajdował się warszawski kapitalista, poszukujący punktów stałych w rzeczywistości, w której się wyznać nie potrafił. „Dulary" gazdów i dolary stołecznej „elity", która zjechała na Podhale po powstaniu, aby leczyć nerwy, pić koniak i grać w bridge'a — dwa symbole pewności i bezpieczeństwa zderzyły się i wywołały konflikt. Konflikt egoizmu, o którym później poszedł hyr w doliny. Mniejsza to wina głodnych i ciemnych od winy sytych i oświeconych.

*

Giewont, który jakiegoś styczniowego poranka spojrzał w sczerniałe gęby powieszonych na podhalańskich świerkach — Wacka Krzeptowskiego i kilku towarzyszy jego zabaw w „naród góralski", po raz pierwszy oglądał takie widowisko. Męczyli i wieszali podhalańskich zbójników Liptowianie i urzędnicy cesarscy na Węgrzech, w Liptowie, Rożomberku i Mikulaszu. Tu po naszej stronie, w dawnych przedrozbiorowych czasach, na śmierć szedł góral za przestępstwa podpadające pod „cztery artykuły": femina, via, ignis, domus — czyli za „białogłowskie zgwałcenie, rozbój, pożogę i zapał, gwałtowne najazdy", ale jak Podhale Podhalem, nikt tu nie zginął za zdradę główną. I dlatego mógł Janosik **śpiewać** przed śmiercią, choć śpiewka słowa miała ponure:

Oj, mamicko miła, cemuś mnie nie biła!
Kiej mnie wiesać bedom, bedzies sie hańbiła!

Ale Krzeptowski i towarzysze na pewno nie śpiewali żadnej pieśni przed śmiercią, bo ich rozbój nie honorny był, był rozbojem popełnianym na sumieniach swojaków.

Kto i kiedy wymyślił koncepcję „goralenvolku", Bóg jeden tylko wie i jego aniołowie. Motywy polityczne i naukowe nie tłumaczą tu nic. Nie chodziło tu chyba o rozbijanie narodu polskiego na części, skoro etnograficzna grupa góralska ma około 125 tysięcy ludzi, a Niemcy naliczyli w roku czterdziestym pierwszym 85 tysięcy górali. Motywy naukowe (mieszanina etnografii, prehistorii i tzw. „Rassenkunde") zakwestionowali sami Niemcy i to w kwartalniku „Die Burg", organie „Institut für die Deutsche Ostarbeit in Krakau". Dlaczego artykuł dr Antona Plügela został tam umieszczony, skoro zbija punkt po punkcie zasadnicze tezy o germańskim pochodzeniu górali, nie wiadomo. Miałem w ręku pięknie oprawny egzemplarz „Burgu", pochodzący z biblioteki samego generalnego gubernatora. Dr Frank nie miał pewnie czasu na jego czytanie, zajęty budową „nowego porządku" na ziemiach gubernii. Ja chwilę czasu znalazłem. Z artykułu wynika, że: „nasze (tj. niemieckie) wiadomości z prehistorii nie pozwalają na stwierdzenie germańskości plemienia góralskiego, a pozostałości etnograficzne (swastyka jako element dekoracyjny i spinka góralska) mogły być przejęte od innych ludów indoeuropejskiego pochodzenia. Według naszych (tj. niemieckich) wiadomości historycznych w formowaniu się góralszczyzny brały udział — dwie lub więcej warstwy Słowian, Niemcy i Wołosi, oraz mniejsze odpryski innych grup etnicznych". Tyle dr Plügel.

Archeologowie niemieccy, rozkopujący w słońcu lata 1942 szczątki zameczku cystersów w Szaflarach pod Nowy Targiem, nie odkryli tam nic, bo jakkolwiek ziemia gromadzi prochy, to nie gromadzi prochów nieistniejących. Antropologowie, którzy zmierzyli tysiąc mieszkańców tychże Szaflar, „odkryli" czterech tylko górali, bo reszta badanych twierdziła, że są Polakami. Wyniki badań zaprzeczyły tezie o nordyckości górali i nie zostały opublikowane. Jedno jest tedy tylko tłumaczenie koncepcji „goralenvolku". U podłoża jego tkwi cecha faszyzmu, którą wielki historyk kultury Holender Huizinga nazwał pueryizmem. Tę samą cechę odkrył w procesach formowania się band gangsterskich i elit faszystowskich niezależnie od Huizingi Florian Znaniecki, nazywając ją elementami zabawowymi. Pan Frank, zachwycony folklorem góralskim podczas pobytu w Polsce przed wojną, chciał stworzyć egzotyczny rezerwat, z którego najdorodniejsi juhasi byliby ozdobą otoczenia gubernatorskiej mości. Zabawa taka sama jak mundury, parady, masowe manifestacje w halach Norymbergi i Monachium.

To też komitet góralski otworzył swą działalność werbunkiem młodych górali do straży przybocznej gubernatora. Zgłosiło się razem pięciu ludzi. Na małym Cichym, w wiosce między Murzasichlem a Porońcem mieszka ojciec jednego z SS-lejbgwardzistów pana Franka. Rozmawiałem z nim jeszcze za tamtych czasów: „poseł za tym przeklentym Wackiem Krzeptowskim, bo pedział mu ten jako bedzie warte trzymoł przy Piłsudskim i ze lepiej zeby nase chłopoki tam na Wawelu były, niż Miemcy, a potem to juz do domu nie wrócił i nie było o nim nijakiej gwary, aż list przysłoł z Pragi, ze tam jest u esesów. Syna mi ukrod Wacek i zapłaci za to, jak przyńdzie nos cas".

Tylu ich było ochotników — pięciu, bo kiedy roku czterdziestego trzeciego ogłoszono pobór do dywizji góralskiej, to wszyscy prawie juhasi w góry „na zbój" poszli, a ci, których zwerbowano (stu czterdziestu trzech ludzi) zbuntowali się w koszarach w Lublinie i w kajdanach poszli do Oświęcimia.

Ci, co po warszawskiej katastrofie na Podtatrze przyszli, widzieli niemieckie szyldy „góralskich komitetów", wiedzieli o góralskich kennkartach, zobaczyli szubienice na Kościelisku w dniach kary. Ale cóż mogli wiedzieć o przewodniku Feliksie Klaperze, który ponad stu ludzi na węgierską stronę przeprowadził i zginął przed swą chałupą na Żywczańskim od żandarmskiej kuli, cóż mogli wiedzieć o nieznanym mi z nazwiska gaździe, co na Lipkach przez trzydzieści dwa miesiące na strychu siedział, żeby góralskiej kennkarty nie wziąć. Wielu takich przewodników i gazdów było, choć przedwojenni „panowie", naczelnik Szatkowski czy kapitan wojsk polskich Wieder do uległości Niemcom namawiali. To właśnie dawna do „panów" niechęć ratowała głodny i ciemny lud Podhala przed pójściem łatwą drogą hańby. Bohaterstwo całego podtatrzańskiego ludu, przez pięćdziesiąt parę miesięcy żyjącego w „Sperrgebiet Hohe Tatra" więcej waży niż hańba kilkudziesięciu, ukaranych zresztą. Jeden z niewielu góralskich inteligentów, który całą wojnę w Zakopanem spędził, powiada, że nie wiele tu ponad trzystu naliczyć by można w sumie łajdaków mniejszych czy większych. To **dwa** procent ludności Podhala. W wojennej Warszawie więcej się znalazło kanalii niż dwa procent i więcej niż dwa tysiące warszawiaków należałoby od czci odsądzić.

Więcej niż dwa procent było kanalii wszelakiej wśród tych, którzy z dołu na Podtatrze po powstaniu warszawskim przybyli. Kiedy tysiące podhalańskich i „dolskich" nędzarzy zdychało z głodu zimą tego roku na Podtatrzu, wiatr wiejący po Zakopanem pachniał Worthem i Guerlainem a butelki Marteli, Hulstkampów i Bolsów opróżniały się jedna za drugą. Georg Scott grał ze swą orkiestrą na Gubałówce, a ze specjalnej „dla Polaków" sali w Morskim Oku szły dźwięki argentyńskich tang w wykonaniu orkiestry Karasińskiego. Tego naród góralski pojąć nie mógł: „O rety, pedacie ze cało Warszawo spalono, a te warszowioki nic tu jeno tańcują, a wódke chlają". Za to płaciła cała zakopiańska Warszawa, płaciła nieufnością i nieżyczliwością chłopów wobec wszystkich „z dołu". I do tych klientów Scotta i „Meeresauge" powinna zgłaszać swe pretensje.

*

Pod reglami leży wciąż jeszcze śnieg. Krzeptowskiego i towarzyszy ktoś tam ze świerków zdjął i poza cmentarnym murem pochował. „Dolscy" ludzie odjechali i odeszli przez Obidową, jak kto mógł. Po pociągach i kawiarniach całej Polski wspomina się tylko od czasu do czasu podhalańskie „dulary" i szubienice. Nędza Podhala została znów sama ze sobą, nędza niezawiniona, nędza okrutna.

JAN HOZER

Wracam z gór

Z kryształowego powietrza gór wchodzę w zaduch mrocznej izby góralskiej. Maleńkie okno szczelnie zabite. Bo i po co je otwierać? Powietrze wejdzie i wyjdzie drzwiami. Nic to, że trochę zmieszane z zapachem stajni. Szkoda ciepła. Na barłogu skąpo wyłożonym słomą, nakrytym brudnymi strzępami szmat, leży chora kobieta z trojgiem chorych dzieci. Reszta drobiazgu wala się po kątach. Brudne to, zasmarkane, na pytania nie odpowiada. Palec obowiązkowo w nosie lub w ustach. W kącie kura znosi cierpliwie pierwsze wiosenne jajo. Pod ścianami przemykają karłowate, nierasowe króliki. Niedawno urodzona owieczka bryka po izbie, roniąc ziarenka czarnej kawy. Kocur na piecu wygina grzbiet kabłąkowato. Pies spuszczony z łańcucha węszy po kątach.

W kącie skrzynia nakryta białym obrusem. Na nim kropidło do święconej wody, krucyfiks, pęczek lnu. Obrus pożyczany od chałupy do chałupy.

— Toście już księdza wołali?

— A ino. W nocy tak mnie kolka wziena, żem nie wiedziała, cy rana dockom.

— Od dawnaście chorzy? Dlaczego dopiero w ostatniej chwili wzywacie lekarza?

— Bedzie ze dwa tydźnie. Myślałam, ze sie oboce, tom wos nie wołała. Somsiadka mnie wysmarowała, to mi zelzyło, ale goroncka jak chyciła trzymać, tak trzymo i nie popusco. Kuma mówi, ze to pewnikiem oberwanie.

Badanie wykazuje „galopujące" suchoty. Wywiad zawsze ten sam. Niejasne stany gorączkowe w przeszłości. Z trudem wydobyte wspomnienie o krwiopluciu przed laty. Nędzne pożywienie składające się niezmiennie z żuru i nieomaszczonych ziemniaków. Regularna głodówka na przednowku. U dwojga dzieci zapalenie płuc, u trzeciego koklusz, u wszystkich „angielska choroba", awitaminoza, niedożywienie, znamiona początkowej gruźlicy gruczołowej. Leczenia nigdy nie było. Nie było za co. Dzieci żyją bez kropli mleka, chyba że pożyczą czasem sąsiedzi. Raz krowie ktoś zadał uroki, więc przestała się doić. Potem wprawdzie doiła się, ale mleko zabrali na kontyngent. W końcu targownik zabrał ostatnią krowę. Nie było jej za co wykupić, wyprosić. Wychodzę z „honorarium"... czterech jaj, które mi wpycha gwałtem. Nie chcę przez odmowę przyjęcia urazić dumy chłopskiej, która nie zanika nawet na padołach płaczu. Obiecuję wyrobić jej pomoc z funduszu społecznego gminy. Kandydatów na leczenie gminne są tu setki.

Wracam po urwistym „brzyzku". W dali widnieje wspaniały granat Starych Wierchów, Jaworzyny i sąsiednich szczytów, ośnieżone jeszcze przedgłowie Turbacza, a hen na zachodzie zarysowuje się siny kontur Babiej Góry. Pęcznieją pąki drzew. Zaczynają żółcić się kulczyki. Wiatr od południowego zachodu zalatuje halniakiem. Gdzieś pod górę ciągnie wołek z zapadniętymi bokami furkę cennego gnoju, podniecany okrzykami „hecia, hecia" przez starszego bacę w rozmamłanych portkach.

— „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Kaście to obesli?"

Pytanie „kaście obesli" jest w tych stronach zwykłą grzecznościową formułką, która nie wymaga wyczerpującej odpowiedzi. Wystarczy odpowiedź „a takta". Spotkanie nie obywa się bez okazyjnej porady, co tu robić na „gordzele" (wól). Leczył go przed laty maścią, bez skutku. Uciska mu gardło, nie daje oddychać. Na zastarzały gordzel bacy nie ma innej rady, jak operacja. Okazuje się, że cierpi na to cała rodzina. Powszechne zjawisko endemicznego wola, przeciwko któremu nowocześnie zorganizowana państwowa służba zdrowia powinna walczyć przez dodawanie jodu do sprzedawanej w górach soli kuchennej.

W domu zastaję czekającą gaździnę, która żąda porady na swędzenie skóry. Jednym rzutem oka stwierdzam wieloletniego świerzba. Skóra całego ciała pokryta strupami z drapania. Pasożyt porył podskórne krużganki i trudno go będzie wytruć w głębokich kryjówkach. Na pewno z Podobina.

— „A dyć z Podobina. Przecieżeście juz u nos byli. Nie pamiętocie?"

— „Czy waszego chłopa i dzieci też swędzi?"

— „A juści, ze sie drapiom".

Odpowiedzi prawie nie słucham. Znam ją z góry. Cała gromada wiejska zaświerzbiona. Nikt nigdy systematycznie się nie leczył. „Wyleczony" już w następnych dniach zaraża się od nieleczonego równocześnie członka rodziny, więc choróbsko uchodzi za niewyleczalne. Maść wskutek wysokiej ceny w szóstym roku wojny, dla ośmiorga dzieci niedostępna. Aptekarz żąda tłuszczu, to zrobi maść. Ręce opadają.

Przesuwa się przygnębiający korowód postaci codziennego dramatu chłopskiego z Poręby Wielkiej, Niedźwiedzia, Koniny. Praca bezlitosna, wściekła, od rana do wieczora. Wydzieranie pazurami owoców z wyjałowionej, kamienistej, niewydajnej ziemi. Jedyna nadzieja w tej odrobinie krówskiego gnoju, którego coraz mniej, bo bydło wyniszczone. Nawóz sztuczny, kupowany w pasku, dostępny tylko dla zamożniejszych. A takich na palcach policzy. Gospodarstwa przeważnie dwu-, cztero-, lub najwyżej sześciomorgowe, parcele rozsiane to tu, to tam. Nie ma gospodarstwa samowystarczalnego. W gromadzie po dwa cherlawe konie. Resztę zagrabili szwabskie „świajdroki". Woły przepadły na spędach, zostało mało co. Pracują krowy, zatracając wskutek nadmiernego wysiłku swoją mleczność. Ale to nie wzrusza nikogo. Kontyngent mleczny ośmset litrów rocznie trzeba odstawić, inaczej zabierają krowę. Nie pomagają żadne świadectwa lekarskie o wygłodzeniu dzieci, o gruźlicy rodzinnej, żadne powoływanie się

na przepisy o zatrzymywaniu części udoju dla siebie, żadne tłumaczenia o braku tłustej paszy. Dopiero śmierć zwierzęcia skreśla dostawę. Więc chłop w obronie prawa do życia musi kraść mleko własnych krów, na których utrzymanie nie otrzymuje tyle co trzeba z własnej ziemi, a zgoła nic z fikcyjnych przydziałów niemieckich. Symuluje kradzież, chorobę bydlęcia, eskamotuje osławione kolczyki, wykupuje się targownikom, zataja urodziny bydlęcia, dopuszcza się pokątnego uboju, szuka ratunku u partyzantów. Właściciel konia i wozu musi pod karą więzienia (z którego nie każdy wychodzi żywcem) zwozić drzewo z lasu do tartaku objętego goeringowską czterolatką wojenną. Na własne potrzeby kradnie ułamki końskiego czasu i resztki czasu wolnego od szarwarków, od wymuszonego wożenia pijanych gestapowców, esesowców i innego plugastwa hitlerowskiego. Kradnie czas wyznaczony na przymusową budowę mostów, dróg, na spędy, przeglądy, okopy, czas wolny od barbarzyńskich „pacyfikacji", które zmuszają go za lada alarmem do „dawania chodu" w las.

Potem do dramatu chłopskiego dołącza się tragedia Warszawy. Kilkuset nędzarzy ogołoconych ze wszystkiego, dzieci bez rodziców, chorych, rannych z gnijącymi ranami, rozdzielają po izbach przepełnionych już od dawna mnogością dzieci, ewakuantami z Poznańskiego. Rodziny chłopskie, same wygłodzone, od ust sobie odejmują, aby wyżywić jeszcze większą od siebie biedotę. Mieszkańcy Warszawy otwierają szeroko oczy na niewiarygodną nędzę chłopską.

A tymczasem zbliżający się front daje znać o sobie głuchymi pomrukami. Wzrasta stopniowo liczba partyzantek sowieckich i Armii Ludowej, które z konieczności muszą szukać pożywienia na miejscu. Chłop ofiarnie dzieli się czym może. Oddziały niemieckie buszują po gromadach, wyszachrowują jaja, masło, ukręcają łby kurom, kopaczy rowów okradają z należnych przydziałów, wyłudzają łapówki za przesunięcie linii okopów o parę metrów dalej. Za dawanie schronienia partyzantom palą domostwa.

Wreszcie przewala się burza frontu. Przechodzi przez wsie pożoga. Wygniata się resztki hitlerowskich pluskiew, które rozlazły się po pogromie. Chłopi otumanieni pięcioletnim terrorem tylko powoli zaczynają sobie uświadamiać, że oto obróciła się ostatnia, zapisana krwią i zalana łzami karta historii, a zaczyna się karta nowa, wypełniona strofami hymnu niepodległości. Parotygodniowe dudnienie niedaleko na zachód odsuniętego kotła nie od razu pozwala na przepędzenie upiorów strachu i rozmarszczenie stroskanego czoła. Wieś otulona jeszcze w obfity puch śnieżny budzi się pomału ze snu zimowego. Wreszcie zaczyna dmuchać łagodny halniak. Wyziera górskie słońce. Odsłania powoli z całunu śnieżnego południowe zbocza. Zaczyna roić się od cyfrowanych portek. Gazdowie wyruszają oglądać stan ozimin i troskliwym okiem obejmować ziemię pod zasiewy wiosenne. Tu i ówdzie rozlega się dawna piosenka:

Turbacu, Turbacu, coześ tak osowioł?
Cy cie dyscyk obłoł, cy cie wiater owioł?

Chłopu wrosłemu w ugory podturbackie tylko pozwolić żyć i pracować spokojnie. Nie zabierać mu bydlęcia, ani jedynego przyjaciela-konia. Przyjaciela, który go rozumie, jak człowiek człowieka. Umożliwić mu kupienie podkowy, ziarna na zasiew, nawozu sztucznego. Odpisać nieużytki zafałszowane przez najeźdźcę jako ziemia orna. Zamienić je na łąki wypasowe dla owiec. Nauczyć wyrobu gatunkowych serów, rzemiosła wiejskiego. Chętnych przesiedlić na tereny, gdzie poznają, co to błogosławieństwo żyznej ziemi. Pozostałą resztę upełnorolnić.

Podnieść kulturę zdrowotną z poziomu średniowiecza do wyżyn dzisiejszej medycyny społecznej. Wnieść ją przy pomocy **powszechnej służby zdrowia** pod wszystkie strzechy. Otworzyć zamknięte okna na życiodajne powietrze hal. Zburzyć przeklęty mur aspołecznych ustaw, które pozbawiały chłopa pomocy lekarskiej, takiej, z jakiej korzysta klasa robotnicza. Zaopiekować się serdecznie tym z natury dobrym i dzielnym ludem, który nie splamił się ani jednym znakiem „G", lecz zachował honor i serce wiernie bijące dla Polski. Udostępnić urocze tereny tamtejsze turystyce, sportom zimowym, koloniom wakacyjnym, uzdrowiskom. Zamienić je na park przyrody, który podniesie ten lud gospodarczo, a krajowi przysporzy jedną więcej skarbnicę zdrowia.

Jan Hozer

W poprzednim (23) numerze „Odrodzenia" z dnia 6 maja: **Mieczysław Jastrun:** Liryka. Cień. Ręką, spod której pierzchła śmierć. Wspomnienie. — **Seweryn Pollak:** Słowik. * * *. — **Zbigniew Mitzner:** Jeszcze o książce. — **Zofia Nałkowska:** Węzły życia (11). — **Witold Zechenter:** Sen mówi prawdę. — **Maria Kuryluk:** Przez noc. — **Mieczysław Wionczek:** Sprawa najpilniejsza. — **Władysław Kłyszewski:** Rewindykacja. — **Hanna Malewska:** Do kogo mówimy — **Eugenia Kocwa:** Berlin w lecie 1944. — **Irena Krzywicka:** Skarga Hioba. — **Edmund Osmańczyk:** Gdański finał. — **Jan Kott:** Po prostu. Urzędnicy kultury. — Rocznica Gribojedowa. — W oczach pisarzy. Ankieta „Odrodzenia". Odpowiedzi **Tytusa Czyżewskiego** i **Hanny Malewskiej.** — **Stanisław Dygat:** Mieszaniny. — **(kb):** Przegląd prasy. — **Stefania Łobaczewska:** Przegląd muzyczny. — Kronika. — 8 stron.

STEFANIA ŁOBACZEWSKA

Muzyka europejska na rozdrożu

Skrajne kontrasty dwóch epok, przecinających się na linii dzisiejszej teraźniejszości, zaznaczają się na wszystkich odcinkach życia. Wydaje się niemal, jakoby nie było tej teraźniejszości, jakby istniała tylko jakaś daleka, obca, dawno nieaktualna przeszłość i tym żywotniejsze, tym silniej naszymi własnymi dłońmi rzeźbione jutro — jutro, o którym wiemy, że będzie takie, jakim my sami zechcemy je mieć, które tworzymy w bólach i mękach, ale świadomie w myśl ideałów zdobytych gorzkim doświadczeniem długich wieków. Ta dwoistość aspektów zaznacza się na każdym polu, nie tylko w sprawach związanych bezpośrednio z organizowaniem nowej rzeczywistości, ale także w sprawach kultury i sztuki, stanowiących jej nadbudowę. Pokolenie nasze stoi na stanowisku, że tradycje są na to, by je przezwyciężać, że tylko nowe treści i nowe formy w sztuce mogą się stać wyrazem tej nowej rzeczywistości. Nowe treści narzucają się przy tym same przez się, tworzone są intuicyjnie, formy zaś często szukamy dopiero z trudem. Jej najwyższym postulatem jest jak najpełniejsza zgodność z treścią dzieła sztuki. I zdawałoby się, że ta zgodność jest momentem zupełnie naturalnym, organicznie przynależnym do każdego prawdziwego, szczerego dzieła sztuki; że powstaje jako funkcja tej treści, równocześnie z nią i przez nią. Wszak w utworze muzycznym np. ten sam fragment melodyczny, który stanowi o dominancie uczuciowej w podkładzie całości dzieła lub przynajmniej jakiejś jego części, rozstrzyga równocześnie o jego ukształtowaniu formalnym, o schemacie konstrukcyjnym i o podkładzie harmonicznym, o fakturze, o rodzaju użytych instrumentów itp. A jednak w praktyce sprawa nie zawsze jest taka prosta. Bywają wypadki, że ta organiczna całość, którą treść i forma tworzą ze sobą w dziele sztuki, jak gdyby rozpada się. Nie w tym znaczeniu oczywiście, by forma sama mogła istnieć bez treści, lub na odwrót, gdyż dzieło sztuki przestałoby wtedy być sobą, ale w tym, że absolutna równowaga, istniejąca między tymi czynnikami w muzyce np. klasycznej, chwieje się, że jeden z nich uzurpuje sobie rolę większą na korzyść drugiego, że wchodzi poniekąd w jego prawa. W muzyce romantyków często sama treść uczuciowa wyraża się z taką siłą, tak ześrodkowuje na sobie uwagę kompozytora i słuchacza, że forma w znaczeniu konstrukcji utworu staje się momentem mało ważnym. Ważną jest wtedy tylko forma jako przebieg w czasie danej fazy uczuciowej, a więc forma samej arabeski melodycznej fazę tę wyrażającej, jej rytmizacja podyktowana wewnętrzną dynamiką i cieniujący jej uczuciowe zabarwienie kolor dźwiękowy, dany poprzez harmonię i instrumentację.

Później, na przełomie XIX i XX wieku jesteśmy świadkami zjawiska wprost przeciwnego: supremacji formy nad treścią w muzyce. Mam na myśli typ muzyki tzw. konstruktywistycznej, która ześrodkowując swe zainteresowania w pierwszym rzędzie na czynnikach formy, celowo i świadomie ucieka od dawnych, romantycznych treści uczuciowych. Ma i ona oczywiście swój podkład emocjonalny, o ile jest muzyką wartościową, ale jest to uczuciowość zupełnie innego typu: raczej radość eksperymentatorska twórcy, który szuka i wypróbowuje nowy materiał dźwiękowy, nowy język i nowe metody konstrukcyjne, niż dawna uczuciowość muzyków romantycznych. Muzykę tę uważaliśmy w okresie międzywojennym za ostatnie słowo kierunków awangardowych. Dziś widzimy ją już we właściwym świetle jako typowy twór generacji silnie obciążonej tradycjami XIX wieku: nie ma już w niej wprawdzie romantycznej uczuciowości, ale jest charakterystyczne dla tych tradycji przywiązanie do form jak najbardziej indywidualnych. Miarą wartości dzieła jest tu jedyność i niepowtarzalność eksperymentu formalnego, w którym twórcy udało się zamknąć swą tęsknotę za egzotyką materiału i formy. I ten moment rozstrzyga właśnie o tym, że i ta muzyka należy już dziś — mimo swe śmiałe eksperymenty dźwiękowe i formalne — raczej do przeszłości, niż do przyszłości.

Ale niezależnie od tej sztuki nastawionej na eksperymentatorstwo w zakresie materiału dźwiękowego i równocześnie z nią, powstaje inna muzyka, awangardowa nie tylę w formie, ile raczej w treści samej: reprezentuje ją odrodzenie pieśni ludowej w muzyce artystycznej. Zjawisko to bywało już wielokrotnie rozpatrywane pod różnymi kątami widzenia, ale nigdy w swym prawdziwym aspekcie historycznym, który jedynie dać może jego naświetlenie i częściowe przynajmniej zrozumienie. A więc przede wszystkim niezmiernie charakterystyczne kulisy powstania tego zjawiska: muzyka ludowa, choć pozornie prowadzi w świecie „cywilizowanym" żywot niezależny od muzyki artystycznej, zawsze jednak dążyła i dąży do związku z nią. Formy tych związków bywają coraz to inne, zależnie od okresu historycznego, w którym się dokonują. Ale nie ma prawie okresu w historii, w którym tzw. muzyka artystyczna byłaby absolutnie wolna od związków z muzyką ludową. Możemy je obserwować nawet w tak zamkniętej jako funkcja społeczna polifonicznej muzyce niderlandzkiej XV-go i XVI-go wieku, do której przedostaje się bocznymi drogami (ludowe melodie stanowiące w formie nieoficjalnej podstawę kompozycyj oficjalnych, wykonywanych podczas mszy w kościele) i u klasyków (melodie ludowe opracowywane przeważnie wariacyjnie, a więc w formie w stosunku do autentyku silnie zmienionej, w instrumentalnych kompozycjach Haydna i Beethovena). Mimo to pieśń ludowa żyje aż do pierwszej ćwierci XIX wieku, tylko jakby na marginesie twórczości instrumentalnej i wokalnej, stojącej wpierw na usługach kościoła, potem dworu, wreszcie salonów mieszczańskich i posługującej się językiem międzynarodowym. Dopiero w romantyzmie przychodzi do swych praw właściwych, choć i teraz w formie, dla swej epoki specyficznej; nie jako twór samodzielny, o własnych, choć zasadniczo różnych wartościach artystycznych i społecznych w stosunku do muzyki tzw. artystycznej, ale odpowiednio przykrojona do światopoglądu i wymagań swej epoki: jako zabarwienie subiektywnych nastrojów poszczególnego twórcy. W tej formie wydaje zresztą to połączenie muzyki ludowej i artystycznej wspaniałe owoce na terenie muzyki polskiej (Chopin), rosyjskiej, czeskiej i skandynawskiej.

Dopiero w wieku XX spotykamy się z inną, bardziej obiektywną postawą artystów w stosunku do pieśni ludowej, której przypada teraz rola przeciwstawienia się i przezwyciężenia subiektywnych i indywidualistycznych nastrojów poprzedniego stulecia i elitarnego charakteru jego sztuki. Bo nie ulega kwestii, że właśnie elitarność była jedną z najbardziej znamiennych cech całej muzyki drugiej połowy XIX wieku, poczynając od Wagnera i Brahmsa a kończąc na Mahlerze, Debussym, Skriabinie i Schoenbergu, sięgających już w pierwszą ćwierć XX wieku. Była to prawie bez wyjątku (za wyjątek taki uważać można po części francuską, a bardziej jeszcze włoską operę XIX stulecia) muzyka wychodząca od momentu osobistego i zwracająca się raczej do poszczególnych, wybranych słuchaczy, zdolnych dzięki swej przynależności do określonej grupy społecznej, swemu wykształceniu i związanym z tym zainteresowaniem do reakcji estetycznych na tę muzykę. W tej muzyce odgrywa pieśń ludowa rolę bardzo nieznaczną, a nawet jeżeli się tam pojawia (Mahler!), to jeszcze raz jako egzotyka na tle wynurzeń ściśle subiektywnych i materiału dźwiękowego o charakterze międzynarodowym.

Aż nagle zaczyna się coś zmieniać. Debussy, Skriabin i Schoenberg trwają jeszcze przy dawnych ideałach „sztuki dla sztuki", gdy w Paryżu dzieje się coś, co można by nazwać rewolucją w świecie muzycznym. Rewolucji tej dokonywa Igor Strawiński swym baletem „Pietruszka". Zamiast bogów, nimf i rusałek, wprowadza na scenę drewnianą laleczkę z jarmarku i robi ją bohaterem; zamiast impresjonistycznych półcieni i półświateł w pianissimo — dynamikę prawie brutalną, orgię ruchu, rytmy ostre, kanciaste. Strawiński sprowadza muzykę z zaświatów z powrotem na teren życia. Po „Pietruszce" następuje „Święto wiosny" i „Wesele" i równocześnie przychodzi do głosu cała plejada kompozytorów różnych środowisk europejskich, którzy pełną dłonią czerpią z tego nowego źródła.

Ale myliłby się, kto by sądził, że dalszy rozwój muzyki europejskiej, nawiązujący do pieśni ludowej, poszedł tą samą drogą, co Strawiński w okresie „Pietruszki". Wprost przeciwnie. Nigdy chyba w czasach nowszych nie wykazuje twórczość muzyczna tak wielkiej rozmaitości, rozbieżności, a nawet kontrastów, jak właśnie ten jej okres w latach 1910—1940. Nawrót do pieśni ludowej stał się wprawdzie hasłem ogólnym, ale jakże różnie realizowanym. Dla jednych — podobnie jak dla Strawińskiego z okresu „Pietruszki" — był żywiołową podświadomą reakcją na indywidualizm i subiektywizm romantyków i neoromantyków. Tu sięgał samych podstaw twórczości muzycznej, przestawiającej się z gruntu w obliczu idących przemian życiowych. Dla drugich był tylko nieuświadomionym bliżej dążeniem do uproszczenia samego typu inwencji muzycznej, faktury i aparatu wykonawczego po wybujałościach Wagnera, Ryszarda Straussa i innych. Jeszcze inni, którzy tkwili silnie z jednej strony w postawie indywidualistycznej, otrzymanej w spadku po wieku XIX, z drugiej zaś w eksperymentatorstwie i intelektualizmie pierwszej ćwierci XX stulecia, podchodzili i do tego problemu raczej od strony formy i konstrukcji: dla nich była pieśń ludowa ze swym materiałem dźwiękowym tak różnym od międzynarodowego materiału, którym posługiwała się nowoczesna muzyka europejska, raz jeszcze zaspokojeniem tęsknoty do separatyzmu, do odrębności języka muzycznego. Ci właśnie reprezentują grupę bodaj najliczniejszą i najbardziej charakterystyczną z historycznego punktu widzenia, o obliczu dwoistym, jakby niezrównoważonym, skierowanych równocześnie wstecz i naprzód. Treść emocjonalna i forma ich dzieł są ze sobą w wyraźnej niezgodzie: treść pozaindywidualna, nawiązująca poprzez pieśń ludową do uczuć przeżywanych gromadnie i dostępnych szerszym masom, skłania się już w kierunku pewnego obiektywizmu, obcego romantykom, zarówno jak i opierającym się na romantykach kompozytorom z pierwszej ćwierci XX wieku; uczucia te wyrażane są jednak w formie zawsze jeszcze silnie elitarnej. Melodia ludowa lub — co częściej — tworzona indywidualnie z ducha melodii ludowych otrzymuje tu oprawę współbrzmieniową, pomyślaną ściśle współcześnie, a nawet wtedy, gdy zużytkowuje w harmonice pewne cechy materiału dźwiękowego, właściwe ludowym systemom tonalnym, robi to z perspektywy założeń konstrukcyjnych, wyrosłych na gruncie międzynarodowej muzyki XIX wieku. Wrażeniowo powstają w ten sposób często efekty, które nie dadzą się ściśle rozgraniczyć od efektów tzw. atonalistów, walczących o nowy język muzyczny eksperymentami jednostkowymi, indywidualnymi. W rezultacie powstaje sztuka, która — mimo że zrodziła się na nowych podstawach przeżyć psychicznych i mimo że dzięki temu miałaby wszelkie dane, by trafić do szerszych warstw słuchaczy — pozostaje jednak zawsze jeszcze poza ich zasięgiem. Zdarzają się wprawdzie tu i ówdzie wyjątki, gdzie jak np. w „Harnasiach" Szymanowskiego forma znacznie już uproszczona zdaje się organicznie wyrastać z tych nowych treści, choć i tu nie można jeszcze mówić o absolutnej zgodności treści i formy. Na ogół jest to sztuka nosząca w sobie wiele sprzeczności. Określenie to nie jest bynajmniej jednoznaczne z ujemnym jej wartościowaniem. Wśród dzieł tego typu i właśnie wśród nich znajdujemy wiele utworów najbardziej wartościowych z okresu międzywojennego. Winić tę twórczość jako całość za sprzeczności, które w sobie nosi, znaczyłoby patrzeć na nią pod fałszywym, niehistorycznym kątem widzenia. Właśnie tylko taka, jaka jest, nieszczera i prawdziwa, jest odbiciem życia, którego zmagania o nowe ideały artystyczne i społeczne odzwierciedla w całej pełni. Nie ulega wątpliwości, że niewspółmierności te wyrównają się w przyszłości, gdy wraz z wszystkimi formami życia i twórca muzyczny dojrzeje do nowej ideologii, do nowego, bardziej już harmonijnego poglądu na świat. Powstanie wtedy sztuka społecznie bardziej wartościowa, a artystycznie bardziej zrównoważona. Ale nasza muzyka z okresu międzywojennego pozostanie na zawsze jednym z najciekawszych, w procesie przemian historycznych przykładów, wykazujących mechanizm ścierania się, krzyżowania i zazębiania się prądów, które nurtują tak niespokojną, ale równocześnie tak bujną i bogatą teraźniejszość.

WŁADYSŁAW MACHEJEK

Jeszcze Polska...

Padł wtedy Cherburg
i pontonowy przemarsz przez Bug otwierał
w barwach narodowych. [narodzenie
Oto przyjaciel Moskal ku Polsce miecz wyszczerbił
nie słowem —

Wolność — w partyzanckich pepeszach!
Msza leśna oprawiona była w pożar i ogromna.
Uklękli nawet ci, co wątpili
pod niebem w bombach
przed czołgiem „Stalin".

Z pokrzyw się nie robi armaty,
w Rzeszy nie rośnie wolfram.
Klęknij i ty germaninie przed lampą leśnych oczu
i czekaj zapłaty.

Choć się na ziemi zapala
najświętsza gwiazda pokoju —
przedtem jednak: jeszcze alarm!
do boju!

Od nowa!
My: Armia Ludowa!

Gdy...

Jakże będzie radośnie
wiersz o pokoju napisać,
gdy odpowiadać będzie
z gruzów Berlina cisza.

Gdy odpowiadać będą oczy
dziecięce i spokojne —
i tylko kropla krwi w muzeum
mówić będzie o wojnie.

Gdy się Wisła potoczy
we wszystkie przymierza i kraje —
i krokiem Ziemi będzie
pochód pierwszego maja.

Gdy już nie będzie to, co boli,
dyktować pierwiosnków wiośnie —
i anteną zielonych topoli
dłonie z dłońmi się zrosną.

KAZIMIERZ BRANDYS

Giełzowski las*)

Zima przysypała wieś już w grudniu. Gospodarstwo Kulisza leżało na uboczu, z dala od wsi, u skraju lasu. Mówili o nim: Kulisz spod lasu, w odróżnieniu od Kuliszów innych, zwykłych, których żyło tu wielu. Piotr Kulisz był małomówny i Winkla często zaprzątało pytanie, o czym mógł myśleć ten chłop w swych chwilach milczenia. Nieraz lubił długo wystawać w największy mróz przed domem, i rękę z fajką niedbale przewiesiwszy przez płot, wypatrywał czegoś w mglistej smudze horyzontu, gdzie śnieg mieszał się z niebem. Tam leżało miasto, z którego przyjechał Winkiel. Czasem wiatr przynosił daleki świst pociągu, a ludzie — wieść dobrą lub złą. W tę stronę Warszawy Winkiel niechętnie spoglądał. Czuł, że sprawy nie są rozstrzygnięte na korzyść jego sumienia. Starał się tępieć i przychodziło mu to z łatwością. Jadł, pił, tył i stwierdzał z satysfakcją, że zdrowieje. Jego mózg przyjmował obrazy, lecz nie wydawał myśli. Las w mlecznych oparach. Zajęczy trop na śniegu. Baby w wełniakach na niedzielnym trakcie. Winkiel nie wyciągał z tego żadnych wniosków, czasem tylko stawał w jakiejś zaspie i kiwał głową z namysłem nad rzeczą zgoła prostą: kawka zerwała się z krzykiem spod nóg, cielę zabeczało w opłotkach, łeb zadzierając ku niebu.

Z Warszawy przychodziły listy w równych odstępach czasu. Kulisz przywoził je z miasteczka, adres był wypisany obcą ręką, ale wewnątrz — jej słowa. Winkiel przebiegał je wzrokiem, czasem wzruszał się i pociągał nosem po chłopsku, jak Kuliszowa, kiedy indziej wystarczał mu widok jej pisma i odkładał list, nie czytając: żyje przecież. Pod lasem wlokły się dworskie wozy, obładowane drzewem, fornale szli z lejcami w rękach i krzyczeli: ho-o! na konie ślizgające się po grudzie. Było na co patrzeć. Zagapiał się w byle co i nieraz wieczór zastawał go z niedokończonym listem na kolanach. Wieczorem zaczynały wyć psy w podwórzu Kulisza, tamte ze wsi odpowiadały im chóralnym wtórem. Było czego słuchać.

Kulisz objawiał mu pewien rodzaj sympatii, ironii i współczucia. Wyrażało się to we wszystkim prócz słów: w geście podsuwającym stołek, albo w życzliwie kpiącym spojrzeniu na widok nieforemnych piguł z machorki, które dawny intelektualista skręcał w chudych palcach. Czasem, gdy Winkiel wracał po jakiejś włóczędze w śniegu i ukazywał w drzwiach swą wątłą, zgarbioną postać w miejskim kapeluszu, w okularach zmętniałych od chłodu, gdy wysuwał z kołnierza swój długi spiczasty nos i spozierał niespokojnie po kątach — Kulisz uśmiechał się. Gdy próbował z początku pomagać w gospodarstwie i usilną wolę wytężał, aby trafić siekierą w polano a nie w własną rękę, gdy powiadał: „Cóż za piękny okaz byka!" wskazując na łaciatą krowę, która dogasała od lat, — Kulisz uśmiechał się również. Winkiel został uznany i przyjęty za swego; mimo miejskich dziwactw, oswojono się z nim, jak z szczególną odmianą domowego zwierzęcia i nie żądano od niego rzeczy niemożliwych, jak nie żądano od wołu, aby piał o świcie.

Noce przeciągały śnieżną ziemią wśród szczekania psów. Winkiel przestał je liczyć. Nora, suka Kuliszów, wytrawny podwórzowiec, uczyła swe dwa podrosłe szczeniaki dojrzałości węchu, wzroku i podstępów. Ta trójka przeżywała namiętne, wyzwolone noce po rozłogach, manowcach i cudzych sadach, płosząc myszy polne, niepokojąc ujadaniem ptactwo, chomiki i Winkla. Ich szczekanie wdzierało się nieraz w jego sen, siadał wówczas w poduszkach obudzony i w ciemności odnajdywał od razu myśl o niej, odepchniętą za dnia. Czy ona śpi teraz? A jeśli tęskni za nim bezsennie, jeśli jej go brak — to co począć? Wysilał myśli, wyobraźnię, aby ujrzeć jakiś jej dzień, godzinę, jeden gest choćby, jedno spojrzenie. „Ja, podlec, zostawiłem ją tam bezbronną, samą, uciekłem, wyleguję się, włóczę. Czy ona je, czy ona sypia..." Osuwał się z powrotem na poduszki, składał ręce, płakał. I prosił Boga za tamtych wszystkich, ogrodzonych, samotnych, bezbronnych. Wilczki skowyczały pod oknem, szukając mysich nor. Czasem zabrzmiał z lasu pojedynczy strzał. To pewnie lis wracał z łowów po kurnikach i zaniepokoił szelestem leśnych, stojących na warcie.

Do południa siedział przy oknie i chuchał w szybę. Lubił patrzeć, jak Kulisz prowadzi młodą płochliwą klaczkę do studni, albo jak z fajką duma nad jakąś wisienką, nie dość szczelnie otuloną w zimowe ubranie. Miał go w polu widzenia i podglądał. Okno wychodziło na ule, przy których Kulisz zwykł od czasu do czasu majstrować, ale tak, że Winkiel nie potrafił pojąć treści tych zabiegów. Raz musiał coś tam robić późną nocą, i nie sam. Winkla zbudziło skrzypienie śniegu pod butami, obcy kaszel i szczęk, jak gdyby łańcuch brzęknął. Wilczki piszczały przymilnie, czyjś głos zawołał cicho: „Nora, No-ora, tu..." Potem znów kaszel i kilka kroków pod oknem, czyjeś plecy oparły się o ścianę, przy której spał, a od ulów szept, rozmowa, wreszcie: furtka zgrzytnęła i kroki — wiśniami pod las.

Czasem Winkiel czuł na sobie baczne spojrzenie Kulisza i bał się. Bał się skutków tych spojrzeń i słów, które po nich wreszcie padną. Nie rozumiał, dlaczego trzymają go tu darmo i lękał się, że w pewnej chwili wzrok Kulisza dokona rachunku na jego niekorzyść i porówna bagatelny użytek lekcji, udzielanych wieczorem małym konopiastym Kuliszkom, z ciężarem jego osoby, która umiała spożywać kluski sprawniej, niż rąbać polana na opał. Ale Kulisz nie poruszał tych tematów. Ćmił fajkę i znów spoglądał na intelektualistę z dobrotliwą ironią, jak wówczas rano po owych szelestach pod oknem, gdy Winkiel zapytał, czy zawsze na wsi miód podbiera się w noce zimowe.

Za dnia na śniegu można było rozwiązywać tajemnice nocy. Śniegu było w bród. Czynił z ziemi rzecz białą i jawną, zdradzał schadzki i ucieczki, wydawał ślady koniokradów, lisów i zajęcy; to była groźna rzecz ten śnieg. Od furtki, wiśniowym szpalerem, czyjeż to kroki prowadzą do lasu? Winkiel stał w swym paletku podszytym wiatrem i dumał. Celował długim nosem w świeże ślady po nocnych zdarzeniach i dziwił się, jakich to gości wilczki Kuliszów odprowadzały aż tutaj. Wąska dróżka wiła się wśród wydm i za młodym brzozowym laskiem wpadała w dworski trakt. Ten trakt szedł prosto, szeroko wzdłuż gęstej ściany jodeł, dębów i białoczarnych starych brzóz. Tam działy się zapewne sprawy mroczne i potężne. Któżby w nie wglądał. Winkiel pokiwał głową i zaniechał swych tropów. Kulisz? Jego rzecz. Niech się dzieje, co zdarzy las. Oto jastrząb w niebie zawisł, jak zły znak dla zająca, który wytęża skoki.

Jeśli Piotr Kulisz domyślał się, co zaprząta głowę Zygmunta Winkla, to nie dawał tego poznać po sobie i nadal częstował go machorką, oszczędnie używając swych wyrazistych gestów. Wieczory upływały bez rozmów. Kuliszki sennie dukały czytanki, kołowrotek terkotał pod stopą Kuliszowej; Winkiel podpierał dłonią głowę, którą śnieg, wiatr i mróz na wydmach uczyniły ciężką. Czasem spotykał wzrok Kulisza i ogarniało go półsenne zdumienie, dlaczego ten człowiek jest dla niego dobry. Kulisz zamyślał się nad Winklem i powoli umieszczał swój wzrok gdzieś w pobliżu jego podpartej głowy. Tak samo potrafił zamyślić się nad zagonem ziemi: ćmiąc fajkę wysyłał spojrzenie za dymem i wraz z nim snuł je spokojnie i siwo. Winkiel spotykał ten wzrok, dziwił się i podejmował go jak rozmowę. Kuliszki mamrotały lekcje, knot skwierczał w mętnym kloszu, a oni siedzieli milcząc — Kulisz z nawyku i metody, Winkiel z zadumy nad sobą, Kuliszem, lasem, wiatrem i tropem na wydmach.

Dni były tak proste. Świat układał się z nieba, śniegu i drzew. Parę spraw białych, parę dalekich, i milczenie głębokie jak ziemia. Świst pociągu, nie wszystkim miły, przedzierał się przez mgłę, jak krzyk z samotnych, porzuconych stron, które odgradza wieś, które zasłania las. Na ten głos Winkiel podnosił ręce do czoła gestem, który mógł świadczyć o rozpaczy. Dotykał skroni, policzków, badał wypieki, oceniał je w skali termometru: ile? ile kresek? Wolał nie sprawdzać zbyt dokładnie. Czuł się dość zdrowo. Choroba od dawna ucichła, nie czuł jej w sobie, było jej nawet za mało na oszustwo sumienia. W chwilach okropnej szczerości szydził po aktorsku: „Jestem już zdrów, po prostu zdrów. Wyługuję się jak łotr, byle nie wracać". I oglądał w lustrze swą twarz, w której starał się odnaleźć znamiona podłości.

Ale listy z Warszawy nie nagliły do powrotu. Winkiel rozkładał je na stole, czytał ich drobne drżące pismo i słowa u dołu strony: „Błogosławię cię, moje dziecko." Przykładał końce palców do skroni, badając gorączkę, której nie miał. Błogosławieństwa. Nawet tego mu nie brakło. Dobre, wygodne wczasy.

Który to dzień marcowy przywiódł tych dziwnych gości? Coraz późniejsze zmierzchy Winkiel przyspieszał gnuśną drzemką, czy półsenną zadumą, która łatwym ściegiem zszywała widziadła i myśli, nie dbając o ład i skład. Raz zbudził się zbyt szybko, szukał jeszcze wokół utraconego snu, gdy smutno i kolistie dopłynął go zza okna ów utracony właśnie sen: „Panie poruczniku, dalej nas nie prowadź..." To było tak. Te słowa, śpiewane przez niski obcy głos, owiły pewnie już przedtem jego drzemiącą głowę, bo od razu wydały mu się znajome i krewne. „Gwiazdy — sidła, serce — ptak, jakże tu wojować..." Na podwórzu skrzypiała studnia. Winkiel przybliżył usta do zamglonej szyby i pieczołowicie chuchał na nią, aż wychuchał przeźroczyste kółko. Ujrzał wysokiego chłopca w futrzanej czapce, który poił konia. O studnię oparty karabin. Zamrugał oczami nie pojmując. Tu działo się coś. Nagle poczuł się samotny, bezradny, wydany na wszystko, co mogło się zdarzyć. Wymknął się cicho z pokoju i zatrzymał się w sionce. Drabiną na strych? w pole? w las? Ale nie wiedząc kiedy i jak, nacisnął klamkę u drzwi, za którymi mógł spotkać spojrzenie Kulisza.

Przywitało go od progu, jak zwykle. Powoli, skroś smukły warkocz z fajki, przywędrował ku niemu przyjazny wzrok. Krótkim gestem Kulisz wskazał mu gościa, który siedział plecami do drzwi, zasłaniając lampkę. Winkiel ujrzał nagle przed sobą ciemną, chudą twarz i rękę sięgającą po jego dłoń. Wymamrotał coś pod nosem siadając i wciąż mrugał za szkłami, osłupiały od oczu, które napotkał.

Kulisz nalał po trzykroć i zachęcił go wzrokiem. Winkiel upił z brzega, tamci pozdrowili się z nad szklanki i wychylili do dna.

— Wiatr... — mruknął przybysz. — Nawieje śniegu do rana. Czas wracać póki wiatr. — Zasłuchał się przez chwilę w śpiewne brzęczenie szyby i nagle, niespodzianie, uśmiechnął się do Winkla białymi zębami, jak chłopiec. — A tak — rozłożył ręce. — Zdarza się i tak. My tu razem, i to, i tamto — wskazał stół, karafkę, ogień na kominie — a tu wnet noc, wiatr, i, Panie Boże, las.

— A tak — przytaknął Kulisz i uczynił głową swój syntetyczny gest, który uświęcał wszystko.

Winkiel sięgnął po szklankę.

— Na zdrowie — podjął gość i wziął swoją w śniade, kościste palce. — Ja wiem kto pan jest. Pan jest Żyd z Warszawy i pan się tu leczy z choroby. Więc za pańskie zdrowie.

— I za las... — szepnął Winkiel, patrząc mu usilnie w dobrze już znane oczy. Wypili.

— Niech więc za las — powtórzył nieznajomy i zamyślił się nad szklanką.

W podwórzu wilczki spuszczone z łańcucha podniosły wesoły jazgot. „Nora, No-ora..." — zawołał śpiewny głos za oknem. Brzęczała uprząż.

— Ja wiem, kto pan — ciągnął gość, bębniąc palcem w takt słów — bo mówił mi Kulisz. Ale pan nie wie, kto ja, bo panu Kulisz nie mówił. Ja jestem szewc Chaskiel, Żyd z Giełzowa. Szyłem w Giełzowie buty. Wie pan jak ludzie powiadają, kiedy w lesie strzały? Chaskiel Niemcom buty szyje. W giełzowskim lesie. Ja to panu mówię, prawda Kulisz, bo pan jest Żyd z Warszawy i pan pije z nami za giełzowski las.

Kulisz skinął na znak, że prawda. Milczeli chwilę. Winklowi w głowie szumiał las i wiatr, słowa dochodziły go jak zza mgły; myśli lęgły się ciężkie i gęste.

— Nie mógłbym — mruknął wpół do siebie, marszcząc czoło z wysiłkiem — nie umiałbym. Ten wiatr. Zima. Jak tam jest? Śnieg, mróz. I co, jakże tam żyć... — Urwał, zwiesił głowę, poruszył bezgłośnie wargami nad szklanką.

— A jak, a jak? — szewc z giełzowskich lasów machał ręką i chrypił złośliwie. — Jak inaczej? Proszę pana, niech pan zapyta Kulisza, on powie o mnie całą prawdę. Ja człowiek porządny .To o mnie każdy wie. Miałem warsztat przy giełzowskiej szosie. Do mnie ludzie przychodzili po radę, niech Kulisz świadczy; radziłem dobrze, bez zysku, nie kredą na ladzie. Jestem prosty Żyd i myślę pewnie jak pan: trza się ratować. Pan kończył szkoły, a i pan myśli, tu u Kulisza siedząc, jak ja: trza się ratować. Wypijmy.

Winkiel podniósł szklankę.

— Ratować się, ale jak? Śnieg, wiatr na wydmach... Więc gdzie, więc jak?

Kulisz patrzał na niego uważnie, dym plótł mu się cienko koło skroni. Winkiel spojrzał ku niemu zamglonymi oczami, jakby czekając pomocy.

— Pan się źle ratuje, człowieku — przemówił Chaskiel, podnosząc chudy, ciemny palec. — Pan się ratuje sam, bez ludzi. Pan się ratuje tylko od śmierci, a to niewielki ratunek, powiadam.

— Jak to, jak to? — przerwał Winkiel, celując w szewca niespokojnie swym spiczastym nosem. — Niewielki ratunek, a jakiż inny, co pan? — szukał na przemian oczu Kulisza i rozmówcy, czując już, jak pod serce skrada mu się racja tamtego, którą przeczuwał, jeszcze nie pojmując.

— Niewielki ratunek — powtórzył szewc.— Pan wie, jest w człowieku dobre i jest złe. Pan to wie, i ja, i Kulisz. To dobre trzeba ratować przed złym, to ja tak z chłopska po żydowsku powiem. Pan się leczy z choroby? — zniżył głos, przysuwając swą głowę blisko twarzy Winkla — ale czy tylko ta choroba to pańskie zmartwienie? Pan się nie leczy ze swojej choroby i nie wiem jaka to ona, ale pan już wie. — Mówił surowym szeptem, wciąż nie odejmując odeń ostrych, wiedzących oczu.

— Ja nic nie wiem... — drżał Winkiel, przerażony tym co słyszał sam i o czym wiedział tamten.

— Pan ma t a m kogoś? — nastawał szewc, jak lekarz, który zadaje ból. — Pan wie co myślę. Kulisz mi wspominał, ale jak to Kulisz. Niewiele wiem. Pan więcej wie o mnie. Tam w Warszawie, za żydowskim murem, ma pan kogoś?

— Matkę — odpowiedział Winkiel i czekał, co się zdarzy. Kulisz drzemał, albo udawał, że drzemie. W sionce wchodził ktoś po drabinie na strych. Pewnie młody towarzysz. „Gwiazdy — sidła, serce — ptak... Jakże tu wojować?" — myślał Winkiel. Szukał pomocy w oczach tamtego, ale szewc siedział z głową podpartą na ręku i zanurzył palce w krętych włosach.

— Czy tak nie może być? — zapytał Winkiel pierwszy. — Mam chore płuco. Cóżbym jej pomógł z chorym płucem, niechże pan powie. Przychodzę do pana po radę, po dobrą radę bez zysku i procentu. Niechże pan powie, jak tam, przy giełzowskiej szosie. Nie jestem pijany. Mówię trzeźwo: co ja mam czynić? — Trzeźwiał istotnie. Przestali pić. Szewc obracał szklankę w dwóch palcach, uważnie patrząc w dno.

— Nie, tak nie może być — wycedził powoli, kręcąc głową. — I to jest pańska choroba. Pan wie, że tak nie może być. Ja tu panu nic nie poradzę. Ale tak z chłopska po żydowsku powiem: tam w lesie są różni chłopcy; i tacy — dotknął palcem swej piersi — i owacy — wskazał na Kulisza. Są tam chłopcy różni, jest wielu co rzucili swoich jak pan, bo prawda: cóż dziś komu pomóc można. Ale oni — tu wystrzelił palcem prosto i groźnie w górę — oni nie ratują siebie tylko od śmierci. Czy pan to rozumie?

— Nie — zdziwił się Winkiel — nie rozumiem. A kogóż oni i przed czym ratują?

Chaskiel wstał i oparłszy się ciężko o stół obydwiema rękami, czekał nasłuchując. Brzęczała uprząż. Czyjaś ręka zapukała w szybę trzykrotnie. Wilczki łasiły się do kogoś, kto był im pewnie miły, skamląc radośnie. Kulisz siedział jak przedtem, nieopodal okna i ssał fajeczkę, patrząc poprzez szyby, zamyślony, treściwy, milczący. Za oknem rozsnuły się gwiaździste sidła na groźbę wędrującym nocą. Bo była już noc, wielka, rozległa jak las.

— Gotowe — mruknął szewc i oderwał dłonie od stołu. — Więc tak. Ja powiem panu jedno słowo, które niech pan sobie zapamięta, bo to mówi Chaskiel, czerwony Chaskiel, co Niemcom buty szyje. Pan wie co to są ludzie, kiedy razem, wespół chcą zdziałać sprawiedliwą rzecz? To drzewo, mocniejsze niż dęby w giełzowskim lesie. Choćbyś walił toporem dzień, dwa i rok, nie padnie. Pan widział kiedy, jak drzazgi lecą z pnia? Ta rzecz, o której mówię — to jest drzewo starsze niż świat. A drzazgi, pan już rozumie, drzazgi znaczą ludzi, którzy mogą paść. No więc. Gotowe. Trza Niemcom miodku dać.

— A przed czym się ratować? — zatrzymał go Winkiel. I wstał, chwiejąc się za stołem na niepewnych nogach.

— Przed podłą śmiercią — uśmiechnął się Chaskiel od progu. — Pana tu może spotkać tylko podła śmierć. Najgorsze. Pan rozumie, co znaczy ta sprawiedliwa rzecz. To większa rzecz niż giełzowska ziemia. Większa niż ten kraj, niż ten czas. — Stał w drzwiach, za którymi rosła noc i kołysał ręką szeroko, opisując swoją sprawiedliwą rzecz. — Wszędzie można mieć swój giełzowski las. Nawet tam, w Warszawie, za żydowskim murem. Niech pan pamięta: to panu mówił Chaskiel.

Winkiel został w izbie, nagle znów samotny. Powoli opuszczał wyciągniętą rękę i słuchał czujnie ostatnich słów, które jeszcze odbywały w nim oporną drogę. — Czy jabym mógł? — szeptał. — Jakże tu wyjeżdżać... Tarł pięścią strapione czoło.

Nie słyszał jak zatrzeszczały płozy, wparte w śnieg; jak pod stopami cicho śpiewał mróz. Chciał płakać nad swym losem, ale Kulisz, który wrócił po chwili, zastał go z głową na stole, pogrążonego w śnie.

*) Fragment opowiadania.

KRONIKA

W Stanach Zjednoczonych ukazał się tom opowiadań pisarzy radzieckich. Prasa amerykańska poświęciła dużo uwagi tej książce. Szczególne zainteresowanie wzbudziła opowieść W. Grossmana „Naród jest nieśmiertelny".

We Francji ukazała się książka Ilii Erenburga „Upadek Paryża". Francuzi mają zamiar wydać między innymi następujące książki: „Sto listów" I. Erenburga, „Leningrad" M. Tichonowa, „Dusze nieujarzmione" B. Gorbatowa, „Dni i noce" K. Simonowa, „Tęcza" Wandy Wasilewskiej, „Zrodzeni przez burzę" M. Ostrowskiego, „Chleb" A. Tołstoja, „Na zapleczu wroga" A. Polakowa, „Chirurg" M. Jemichanowa, „Rosyjski marynarz — Iwan Mikulin" L. Sołowiowa.

Książki o radzieckich ludziach morza w okresie wojny z Niemcami: „Dusza morska" L. Sobolewa, „Rosyjski marynarz — Iwan Mikulin" L. Sołowiowa, „Pod murami Leningradu" W. Wiszniewskiego, „Oficer marynarki" A. Krona.

„Pieśni rosyjskie XIX wieku". Zbiór pod tym tytułem opracował I. Rozanow. Weszły tu pieśni ludowe, pieśni znanych pisarzy rosyjskich, pieśni zapomnianych poetów, wiersze przerobione na pieśni itd. Książka jest zaopatrzona w wyczerpujące komentarze i ukazała się nakładem Państwowego Wydawnictwa Literackiego (Goslitizdat).

Michał Zoszczenko przygotowuje książkę o partyzantach i pisze dwie komedie.

„Kultura Radziecka". Czasopismo pod tym tytułem ukazuje się począwszy od listopada 1944 r. w Meksyku jako organ Rosyjsko-Meksykańskiego Instytutu Wymiany Kulturalnej. W czasopiśmie zabierają głos znani autorzy meksykańscy.

PRZEGLĄD MUZYCZNY

Państwowa Filharmonia krakowska wzięła udział we wszystkich imprezach artystycznych, urządzonych z okazji uroczystości 1-o i 3-o majowych. I tak na akademii w dniu 30 kwietnia wykonano pod batutą dyr. **Zygmunta Latoszewskiego** Chopina Polonez A-dur (w transkrypcji na orkiestrę) oraz Mazur ze „Strasznego Dworu" Moniuszki, zaś na Akademii 3-cio majowej II-gą i III-cią z „Odwiecznych Pieśni" Karłowicza. Szczególnym powodzeniem cieszył się **Koncert Muzyki Słowiańskiej** dla Związków Zawodowych, zawierający w programie kompozycje twórców polskich, rosyjskich i czeskich (Moniuszki Uwertura do „Halki" i Mazur ze „Strasznego Dworu", Borodina „W stepach Azji", Czajkowskiego „Kaprys Włoski" i Smetany uwertura do „Sprzedanej Narzeczonej"). W koncercie tym wystąpili jako soliści dr **Stani Zawadzka** i **A. Finze** (arie z oper Moniuszki i Nowowiejskiego) oraz **T. Urbanowicz** (ballady Moniuszki „Czaty" i „Stary Kapral"). Program ten realizował podstawowe postulaty koncertów tzw. popularnych, przeznaczonych dla szerszych warstw słuchaczy: dał muzykę przystępną i dla wszystkich zrozumiałą, a równocześnie wartościową.

(stl)

SPROSTOWANIE

W wierszu Pawła Hertza „Do przyjaciół Moskali", zamieszczonym w 18 numerze „Odrodzenia", początek trzeciej strofy powinien brzmieć: **„I tak zaczęta pierwszym taktem"**, a nie, jak błędnie wydrukowano: „I tak zaczęta pierwszym faktem".

ADOLF CHYBIŃSKI

Sprawy szopenowskie

W październiku roku 1949 minie sto lat od śmierci Chopina. Nie tak odległa jest ta data, jakby się zdawać mogło.

W czasach dla nas najgorszych i najgroźniejszych Chopin mówił całemu światu, że jesteśmy, że żyjemy. Przemawiał do całego świata, do naszych przyjaciół i do naszych wrogów językiem ogólnie zrozumiałym, bezpośrednio i przekonywająco; przemawiał wszędzie, nawet tam, dokąd ani polski człowiek ani polskie słowo dotrzeć nie mogło. Usiłowano niejednokrotnie odebrać nam Chopina, obdarzając nim różne narody. Wrogowie nasi zabraniali wykonywać w Polsce jego dzieła, zdając sobie sprawę z potęgi jego sztuki, noszącej w sobie piętno polskości. Chopin był zawsze i będzie zawsze najlepszym obrońcą naszej sprawy narodowej.

Długo tego nie rozumiano, tak jak nie rozumiano moralnej konieczności, aby prochy Chopina spoczęły w tej ziemi, która go wydała. Poruszano ten temat kilkakrotnie już dawniej, ale zawsze z tym samym skutkiem: **sprowadzenie prochów Chopina z paryskiego cmentarza do Polskiego Panteonu** odkładano ad calendas graecas, wskazując na rzekome „trudności polityczne", które miały stać na przeszkodzie. Data setnej rocznicy śmierci Chopina ma jednak swoją wielką wymowę. Jest to zarazem rzadka sposobność do urzeczywistnienia dawnych nieudałych zamierzeń, nieudałych, bo nie popartych moralną siłą całego narodu. Nie tak szybko jednakże powtórzy się taka okazja, jaka się nam obecnie nadarza. Będzie obowiązkiem naszym okazję tę należycie wyzyskać. Jeśli kiedy, to właśnie obecnie sprawa ta będzie łatwiejsza do przeprowadzenia. Jest ona tak pilna, że już teraz należy rozpocząć starania u rządu zaprzyjaźnionej Francji, by zwrócił Polsce to, co jest moralną własnością narodu polskiego. Grobowiec Chopina na Père Lachaise nie może nadal stanowić tylko jednej z atrakcyj paryskich, skoro miejsce jego powinno znaleźć się w Polskim Panteonie. Z tą kwestią łączy się jeszcze kilka innych. Uratowana w czasach tragedii warszawskiej urna z sercem Chopina (na szczęście nie podzieliła smutnego losu urny z sercem Karola Szymanowskiego!) pozostanie w Warszawie. Prochy z cmentarza paryskiego powinny spocząć na Wawelu. A to wymaga odpowiednich przygotowań, które już obecnie powinny być należycie obmyślone, jeśli nie już rozpoczęte. Nie można bowiem niczego odkładać na później, aby dorywczość działania nie wyrządziła szkody majestatowi dzieła Chopina, aby nie ubliżyła również nam samym, całemu narodowi.

To byłaby zaledwie jedna „sprawa szopenowska". Ale na tym nie koniec. Jest jeszcze kilka innych spraw nie mniejszej wagi, złączonych z datą „1949".

Od szeregu lat przygotowywał warszawski Instytut im. Fryderyka Chopina wzorowe **wydanie zbiorowe dzieł mistrza,** wydanie krytyczne, uwzględniające w miarę możności wszelkie źródła (autografy, różne wydania dzieł Chopina, zwłaszcza pierwsze), aby na tej podstawie stworzyć edycję nie zawierającą ani błędów ani dowolności. Praca Instytutu im. Fr. Chopina doznała z powodu wojny przerwy, i to nawet na terenie Szwajcarii, gdzie pod patronatem I. J. Paderewskiego pracowali nad tym wydawnictwem znakomity żyjący szopenolog dr Ludwik Bronarski i wybitny pianista Turczyński, aby ustalić ostatecznie teksty dzieł Chopina. Trudno dziś zdać sobie dokładnie sprawę z tego, jak daleko postąpiły prace nad przygotowaniem wielkiej edycji szopenowskiej twórczości. Ale należałoby i tę sprawę zbadać dokładnie i rozstrzygnąć, czy moglibyśmy spodziewać się ukazania tego pomnikowego wydania w r. 1949, bądź w całości, bądź też co najmniej w znacznej części. Należałoby też przekonać się, czy nasze techniczne środki i urządzenia (sztycharskie wzgl. drukarskie) stanęłyby na wysokości niełatwego zadania. Najmniejsze bowiem niedociągnięcia musiałyby poderwać nasz autorytet moralny, gdyby się okazało, że obce wydania dzieł Chopina posiadają wyższe zalety. Tak więc i ta druga sprawa szopenowska ma również swą wielką wymowę i swą wielką doniosłość i należy, podobnie jak poprzednia, do spraw nie cierpiących zwłoki.

Trzecia z rzędu sprawa — to **odnalezienie autografów Chopina** i to nie tylko tych, które wywieziono z Polski w r. 1939, ale i tych, które wywieźli Niemcy. Wobec nad wyraz bolesnego faktu, jakim jest zniszczenie wielu autografów Chopina w Warszawie w r. 1944, każdy najmniejszy nawet rękopis mistrza nabiera wartości zwielokrotnionej. Znając psychikę niemiecką, a zwłaszcza niemiecką złośliwość i mściwość, możemy żywić poważne obawy, że wywiezione przez nich autografy i pamiątki po Chopinie mogą ulec umyślnemu zniszczeniu, które tak łatwo mogliby zbrodniarze przypisać „terrorystycznemu bombardowaniu" ze strony armii sojuszniczych. Nie do nas należy wskazywać na te skuteczne represje, dzięki którym moglibyśmy odzyskać te bezcenne dla nas (i nie tylko dla nas) skarby. Zdaje mi się jednakże, iż najprostszym sposobem byłoby wzięcie w zastaw autografów wielkich kompozytorów niemieckich aż do czasu, w którym nastąpiłoby wydanie w polskie ręce nie tylko wywiezionych autografów i pamiątek po Chopinie, ale i tych, które w ogóle znajdują się na ziemiach niemieckich. Na tym jednakże nie koniec. Niemcy zniszczyli w Polsce wiele bibliotek, zawierających dzieła Chopina w dawnych i nowych edycjach. Powinniśmy zażądać wydania dla potrzeb muzycznego szkolnictwa polskiego wszystkich niemieckich i nie-niemieckich edycyj dzieł mistrza, jakie znajdują się w muzycznych magazynach i archiwach wydawców niemieckich i w bibliotekach. Wiemy wprawdzie, że sporo wydawniczych firm niemieckich legło w gruzach (np. firmy tak słynne, jak Breitkopf i Haertel lub Peters w Lipsku, M. Schott w Moguncji), ale ich wydania znajdują się w różnych miastach niemieckich, gdzie nie trudno byłoby je odnaleźć. Wszystko to powinno w r. 1949 znaleźć się w naszych publicznych czy szkolnych bibliotekach, jako rekompensata (przynajmniej częściowa) za szkody poniesione przez Polskę ze strony i z winy bezprzykładnych barbarzyńców. Należy tylko przystąpić do rewindykacyjnej pracy z całą energią i surowością.

To byłyby trzy „sprawy szopenowskie", nad którymi byłby czas najwyższy szybko a gruntownie się zastanowić, aby nas nie zaskoczyło nic, abyśmy nie potrzebowali się wstydzić, że o ich istnieniu nie pomyśleliśmy zawczasu.

Mamy jednak do zanotowania dowody, że o dacie „1949" myślano u nas jeszcze za czasów okupacji hitlerowskiej. Grono muzyków i muzykologów, którzy przed r. 1939 grupowali się w zasłużonym dla spraw naszej muzyki warszawskim Towarzystwie Muzyki Polskiej, powzięło w r. 1943 myśl napisania i wydania w r. 1949 czterotomowego dzieła pt.: **„Analizy i objaśnienia dzieł Fryderyka Chopina".** W obcej literaturze muzykologicznej nie brak wydawnictw tego rodzaju, popularnych i u nas, mimo że ich wartość jest tak często problematyczna. Powstała więc słusznie myśl stworzenia podobnego, ale obszerniejszego, gruntowniejszego i wartościowszego wydawnictwa, które by nareszcie wypełniło tę lukę w naszej literaturze szopenowskiej i które byłoby pożyteczne zarówno dla muzykologa, muzyka jak i dla muzykalnego amatora. Wydawnictwo to miałoby charakter naukowy, badawczy, z zastosowaniem wszelkich metod naukowych, aby wyjaśnić i odkryć może niejedno, co uszło uwagi dotychczasowych szopenologów, jednakże byłoby ono przystępne dla muzykalnego ogółu. Zespół dziewięciu muzykologów polskich pracuje nad tym wspólnym dziełem, nad tą monumentalną publikacją już od r. 1944, częściowo nawet od lat wcześniejszych. Trudno dziś już przewidzieć, czy w r. 1949 stanie przynajmniej jeden pomnik Chopina w miejsce **zniszczonych** przez Niemców, ale wolno nam mieć nadzieję, że wszyscy współpracownicy tej publikacji wytężą swe siły i swą pracowitość, aby publikacja tego rodzaju posiadała cechy dzieła pomnikowego.

Po prostu

Drewniane bomby

Na parę lat przed wojną Liga Obrony Powietrznej Państwa ustawiła na głównych ulicach Warszawy drewniane makiety bomb lotniczych. Na każdej z tych bomb widniał napis, że zawartość jej wystarcza do wytracenia 20.000 ludzi. Po raz pierwszy w historii miasto stawiało pomniki siłom, jakie w niedalekiej przyszłości miały je zetrzeć z powierzchni ziemi. Kiedy przeczytałem artykuł Czesława Miłosza „Śmierć Kassandrze" („Odrodzenie", nr 21), przypomniały mi się te drewniane bomby na placach Warszawy.

Pisze bowiem Miłosz, że nie doceniłem wieszczej roli katastrofizmu, groźnego ostrzeżenia przed nadchodzącą zagładą, rozpaczliwego okrzyku — pali się!, który psuł rachunki tym wszystkim, którzy chcieli rzeczywistość załgać, upiększyć, pokryć sztandarami i wieńcami. Nielicznych, świadomych puszczyków zagłuszać miał „pochód krzepkich zwolenników entuzjazmu, którym ani w głowie były jakieś tam katastrofy i klęski". Twierdzę, że tak nie było, że to nie jest prawda. Gdzie w Polsce po roku 1930 odkrył Miłosz ów „dziki taniec entuzjazmu i optymizmu". Nie mówimy przecież o zapłaconych pismakach w urzędowych gazetach, ani o filmowych dodatkach Pata, gdzie pod takt orkiestry pułkowej, dziewczynki w regionalnych strojach na wszystkich dworcach wręczały prezydentowi bukieciki róż. Mówimy o literaturze, mówimy o poezji.

Okres uwielbienia ślepego żywiołu życia, pochwały prężności, bujności i mocy należał już w latach trzydziestych do przeszłości. W wierszach Tuwima witalistyczne dreszcze ustąpiły miejsca koszmarnym obrazom „strasznych mieszczan w strasznych mieszkaniach". Wierzyński próbował wskrzeszać widziadła romantycznego teatru od ducha Konrada po posągi w Łazienkach. Iwaszkiewicz tłumaczył i naśladował George'a, poszukiwał nowej, aktualnej tradycji kulturalnej, łączącej Ren z Wisłą. A młodzi, młodzi byli prawie wszyscy katastrofiści.

W pierwszym dziesięcioleciu po wojnie przeważały w poezji tony pogodne, radosne i jasne, w drugim dziesięcioleciu smutne, ponure i mroczne. Nie dajmy się jednak uwieść pozorom. Ta sama pogarda dla rozumu, ten sam irracjonalizm, który przejawiał się w pochwale „skoku i pięści" u Marinettiego, w optymizmie witalistycznym młodych Skamandrytów, odżył pod nową maską w mistycznym katastrofizmie, poprzedzającym wybuch nowej wojny światowej. Zarzuca mi Miłosz, że pomieszałem i dowolnie połączyłem zjawiska tak różne jak katastrofizm Spenglera, metafizykę Heideggera, średniowiecze Bierdiajewa i atmosferę grozy i maligny w poezji. Zrobiłem to świadomie, łączność tych wszystkich zjawisk nie jest ani przypadkowa, ani pozorna. Są to wszystko objawy tych samych kuriozów i drgawek myśli mieszczańskiej, lękającej się wiedzy o rzeczywistości społecznej, uciekającej przed prawdą w świat zmarłych form, zgasłych mitologii i fałszywych mitów. Co z tego, że krzyczy ktoś „pali się", kiedy nie pokazuje mi, skąd grozi ogień. Posłuchajmy:

„Wszystko minione, wszystko zapomniane,
Więc pora, żebyś ty powstał i biegł,
chociaż ty nie wiesz, gdzie jest cel i brzeg,
ty widzisz tylko, że ogień świat pali"

(„Trzy zimy" — „Roki")

Katastrofiści bali się nazwać rzeczy po imieniu, nazwać to znaczy określić, to znaczy stanąć po tej albo po tamtej stronie. Co z tego, że ktoś krzyczy „gore", jeżeli twierdzi, że ogień zażegły duchy. Poetom dwudziestego wieku nie wolno powoływać się na nieświadomość. Jeżeli udają, że wierzą w millenium i koniec świata, wiedzą dobrze, co czynią. Europie nie groził szatan i koniec świata, ale Niemcy i hitleryzm. I „pogodnej głupoty polskiej inteligencji", o której pisze Miłosz, na pewno nie zamąciły następujące wiersze:

„Pogodzeni jesteśmy po długim skłóceniu,
wiedząc, że z szczęścia ludzi kamień na kamieniu
nie zostanie.
Ziemia usta rozewrze, w jej dudniącej katedrze
chrzest odbiorą ostatni poganie".

Pisze Miłosz, że „tam gdzie jest pełna wiedza, poezja jest już niepotrzebna". Słusznie!

Na gruzach Warszawy

Ale poezja może być awangardą wiedzy, albo awangardą kłamstwa. Poezja katastrofistów była, niestety, awangardą kłamstwa. W pięcioleciu poprzedzającym wojnę utrzymywano nas starannie w atmosferze złudzeń i fikcji, fikcji historycznych, fikcji politycznych, fikcji społecznych. One właśnie podtrzymywały beztroskę polskiej inteligencji. I nie wolno nam zapominać, że bronią, jaką posługiwali się ideolodzy faszyzmu, aby duchowo obezwładnić tych, co mogli się jeszcze zbuntować, był zawsze mistycyzm i mętniactwo, ciemne otchłanie ponurych bzdur, wśród których obok mitu o wspólności rasowej, mit o upadku kultury zachodniej zajmował niepoślednie miejsce. I miejmy odwagę powiedzieć, że w owych latach znaleźli się u nas jedynie trzej poeci, którzy ukazali historyczną grozę faszyzmu: „nieodpowiedzialny rewolucjonista" Broniewski w wierszach o Hiszpanii i „Na bagnet broń!", „ciasny racjonalista" Słonimski w wierszu „Do Niemców", i „niezrozumiały awangardzista" Przyboś w wierszach pisanych we Francji. Żaden z nich nie był katastrofistą.

Na ulicach Warszawy stały spokojnie drewniane bomby. Tuż obok przez megafony nadawano codziennie urzędowe kłamstwa. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że nie wystarczy ustawić makiety bomb, trzeba jeszcze uczyć, kto je w najbliższym czasie rzuci. Wiersze katastrofistów podobne są dla mnie do smutnych drewnianych posągów o kształcie bomb, wzniesionych bogom zniszczenia.

Jan Kott

Kalendarz kulturalny

Walne Zebranie Związku Zawodowego Literatów Polskich, Oddział w Krakowie, odbyte w dniu 29-go kwietnia b. r. powzięło następującą uchwałę: „W numerze 10 „Naprzodu" z dnia 1. V. b. r. ukazała się notatka dra Bolesława Drobnera, w której w związku ze sprawą nagrody literackiej dla A. Górskiego nazwano Dyrektora Departamentu Literatury i Sztuki, Kazimierza Czachowskiego „faszystą" względnie „obrońcą faszysty". Nie wnikając w motywy, które spowodowały przyznanie nagrody A. Górskiemu, ani też w konsekwencje urzędowe wobec Dyrektora Departamentu Literatury, Walne Zebranie stwierdza, że notatka dra Drobnera zarówno w formie, jak i treści, nosi znamiona krzywdzącego i bezpodstawnego oskarżenia przeciwko pisarzowi, którego zasługi jako krytyka i organizatora życia literackiego są równie niewątpliwe, jak jego przekonania demokratyczne".

Z 44 kościołów warszawskich ocalało tylko 4. Są to kościoły: św. Wojciecha przy ul. Wolskiej, św. Stanisława przy ul. Bema, Karmelitów i Wizytek na Krakowskim Przedmieściu. Do odbudowy, według opinii rzeczoznawców, nadaje się zaledwie połowa z 40 zburzonych kościołów, a do zniszczonych kompletnie należą: Katedra św. Jana, kościół Panny Marii, kościół św. Marcina, kościół św. Jacka. Z 11 kościołów na Pradze zniszczonych zostało 4.

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik" rozpocznie w najbliższym czasie szeroko zakrojoną akcję wydawniczo-literacką. Niebawem ukażą się powieści: „Węzły życia" Zofii Nałkowskiej, „Krata" Poli Gojawiczyńskiej, nowele Jarosława Iwaszkiewicza, tom wierszy „Miejsce na Ziemi" Juliana Przybosia, „Dzieje jednego życia" prof. Hirszfelda, „Psychologia zwierząt" prof. J. Dembowskiego, broszury o reformie rolnej, o Armii Czerwonej oraz książki dla dzieci. Projektowane jest wydanie 30 podręczników z zakresu biologii, medycyny i nauk ścisłych. Z przekładów ukaże się „Nadzieja" i „Dola człowiecza" Malraux, „Cichy Don" Szołochowa oraz dzieła Aleksego Tołstoja.

Archiwum Miejskie w Toruniu, które zasilało nie tylko polską, ale i zagraniczną naukę, uległo zniszczeniu. Najstarsze dokumenty Niemcy wywieźli w końcu r. ub. do Rzeszy, najprawdopodobniej do Marburga. Również kościelne księgi metrykalne miasta i powiatu toruńskiego, złożone na czas inwazji niemieckiej w Archiwum, zostały wywiezione i los ich jest do tej chwili niewiadomy. Są to księgi najstarsze, obejmujące spisy ludności do w. XVIII włącznie. Podobny los spotkał i Muzeum Miejskie, którego zbiory, niemal w całości, wywieziono. Uratowało się jedynie to, czego Niemcy nie zdążyli już zrabować na skutek szybkiego zbliżania się frontu. Dzięki temu pozostał szereg cennych malowideł, wśród nich także obrazy Bacciarellego, oraz część bogatego niegdyś zbioru grafiki, starej porcelany wiedeńskiej, naczyń z epoki prehistorycznej itd. Jedne z drzwi ratuszowych zostały odnalezione w majątku Gorsk, w pow. toruńskim; uratowano również zabytkowy krucyfiks z kościoła Panny Marii. Arcydzieło rzeźby toruńskiej, piękna Madonna z kościoła św. Jana, zostało wywiezione w nieznanym kierunku. W Książnicy Miejskiej im. Kopernika Niemcy urządzili w czasie okupacji bibliotekę niemiecką, skutkiem czego usunięto stąd polskie książki. Gdy Armia Czerwona zbliżała się do Torunia, wiele najcenniejszych książek Niemcy wysłali do Rzeszy. Urządzenia biblioteczne oraz sam budynek doznały znacznych uszkodzeń na skutek zakwaterowania tam frontowych oddziałów niemieckich.

Otwarta niedawno w krakowskim Domu Plastyków wystawa, poświęcona twórczości 26 malarzy i rzeźbiarzy zamordowanych przez Niemców, obejmuje prace pośmiertne następujących artystów: Wincentego Bałysa, Kazimierza Chmurskiego, Stefana Filipkiewicza, Władysława Jekiełka, Tadeusza Korolkiewicza, Alojzego Majchra, Stanisława Majchrzaka, Jerzego Makarewicza, Tadeusza Mróz-Łękowskiego, Jana Ogłódka, Tadeusza Palczewskiego, Borysa Petryńskiego, Ludwika Pugeta, Zbigniewa Raynacha, Tadeusza Różyckiego, Jana Rubczaka, Doroty Seidemannowej, Tadeusza Siwka, Emila Szinagla, Gizeli Ważykowej, Adama Wiśniowskiego, Janusza Woźniakowskiego, Władysława Zakrzewskiego, Stefana Zbigniewicza.

Wydział Oświaty oraz Kultury i Sztuki w Poznaniu organizuje dalsze wykłady popularno-naukowe w sali Biblioteki Miejskiej. Odbyły się następujące odczyty: „Wyspiański, jako wieszcz państwowości polskiej" (K. Ulatowski), „Co mówi socjologia o organizacji" (dr Dobrzyńska-Rybicka), „Nasze Kresy Zachodnie" (dr Świnarska), „Z dziejów stoł. m. Poznania" (S. Strugarek), „Obalenie rządów krzyżackich na Pomorzu" (doc. K. Górski).

Dyrekcja teatru im. St. Wyspiańskiego w Katowicach zamierza w najbliższym czasie przystąpić do utworzenia kursu sztuki aktorskiej. Kierownictwo kursu spoczywać będzie w rękach dyrekcji teatru, wykładowcami będą aktorzy.

Pomimo szczególnie silnego ucisku kulturalnego w czasie okupacji, pisarze podhalańscy nie poniechali pracy. Poeta chłopski Podhala, Stanisław Nędza-Kubiniec, napisał w czasie wojny cykl wierszy i poematów. Juliusz Zborowski, dyrektor Muzeum Tatrzańskiego, kończy zaczętą w czasie wojny pracę o materiałach etnograficznych Podhala w literaturze polskiej. Dr L. Wyrostek opracowuje historię rodów chłopskich na Podhalu. Pisarz młodego pokolenia chłopskiego, Antoni Olcha, przygotował do druku monografię wsi Naprawa, spopularyzowanej głośną powieścią Jalu Kurka. Maria Kasprowiczowa uzupełnia na Harendzie materiały pamiętnikarskie. Tadeusz Bocheński dokonał w czasie wojny przekładu najcelniejszych klasyków greckich i rzymskich, obecnie zaś pracuje nad essayem „O pięknie mowy polskiej".

W Zakopanem otwarto wystawę grafiki, malarstwa i rzeźby, zawierającą prace ponad 50-ciu plastyków zakopiańskich oraz tych, których wojna przygnała na Skalne Podhale. Między innymi wystawili swe prace: St. Gałek, Pękalscy, T. Kurek, M. Skoczylas-Leszczyńska.

W OCZACH PISARZY *)

Ankieta „Odrodzenia"

Redakcja „Odrodzenia" zwróciła się do pisarzy polskich z następującym listem:

Pragnąc zobrazować możliwie najbardziej dokładnie życie literackie lat wojny, zwracamy się do Pana (i) z prośbą o wzięcie udziału w ankiecie zbiorowej, którą organizujemy.

Oczekujemy od Pana (i) wypowiedzi, w której uwzględniłby Pan (i) w sposób, jaki Pan (i) uważa za właściwy, swój stosunek do rzeczywistości wojennej widzianej oczami już wyzwolonymi; wpływ, jaki ta rzeczywistość wywarła na Pańskie zainteresowania i zamierzenia artystyczne na przyszłość.

Prosimy również o uwzględnienie szczegółowe własnej twórczości lat wojny i udostępnienie nam jej w stopniu, jaki Pan (i) uzna za słuszny.

PO STRONIE DEMOKRACJI

Poczucie słuszności demokratycznych przekonań, tak silnych we mnie już przed wojną, wzmogło się jeszcze pod wpływem wojennej rzeczywistości. W czasie jej trwania zdawało się bez końca chodziliśmy ulicami za pan brat ze śmiercią, mieszkaliśmy pod ustawiczną jej — jakże potworną — opieką i „opieka" ta po stokroć utwierdzała mnie w przekonaniu, że tylko Polska demokratyczna może dać naszej ludności dobrą przyszłość.

Jeżeli mamy jeszcze przeciwników, trudno — nie możemy zgodzić się na to, by dziewięć dziesiątych cierpiało dla najwyższej jednej dziesiątej ludności. Taki jest mój rachunek — wierzę, że sprawiedliwy. Poza tym demokracja jest mi po prostu droga. Bo nie tylko względy społeczne ale i uczuciowe każą mi stać po stronie tych, którzy przed krzywdą bronią, a nie tych, którzy krzywdzą. Ci co bronią powinni być silni. Sens bowiem moralny tych pełnych żałoby lat pod okupacją niemiecką znajduję przede wszystkim w fakcie, że ukazały one i stworzyły ludzi silnych, myślących kategoriami społecznymi i w najtwardszych nawet warunkach umiejących pracować, wbrew wygodnemu kwietyzmowi, sobkowstwu i niechęci tych, na których nic już i nigdy wpływu mieć nie będzie, skoro nie miały go okrutne przejścia narodu.

Ta zdecydowana postawa wobec dzisiejszej rzeczywistości, w której rola pisarza jest tak ważna i tak oceniona jak nigdy dotychczas, pomaga mi przeboleć wiele strat poniesionych i stanąć do pracy. Po okrutnym prześladowaniu i wyniszczeniu przez Niemców ogromnego potencjału energii i zapału, wiedzy, pracowitości i doświadczenia, jakie reprezentowali nasi pomordowani z bestialską premedytacją uczeni i pisarze, musimy starać się pracą swą choć w części straty te społeczeństwu wynagrodzić.

Wierzę, że do wprowadzenia wielkich mas naszego społeczeństwa na tereny kultury przyczyni się reforma rolna. Pozwoli ona podnieść ilość czytelników, zwiększyć nakłady książek, śmiesznie małe w okresie międzywojennym — i otworzyć świat piękna artystycznego wszystkim dotychczas w tym zakresie upośledzonym. Że więc wielkie zadania stoją przed pisarzem, to rzecz zrozumiała. Im sprostać jest zawsze najżywszą radością twórczego człowieka.

Idziemy na Zachód. Nad Odrę, nad Nisę! Jakże wspaniała jest rzeczywistość dnia dzisiejszego! Spełniają się najśmielsze marzenia — nad drzemiącymi w ziemi kośćmi i prochami praojców nie obcy przystaje przechodzień...

Zainteresowania moje dla prastarych ziem słowiańskich na Zachodzie, którym dawałam wyraz już przed wojną, wypowiadałam w zaledwie zaczętej — niestety zniszczonej — powieści z epoki „biskupińskiej". Zainteresowania te nie tylko nie osłabły, ale nabrały obecnie żywej aktualności. Dawniej tkwiło w nich ustawiczne poczucie krzywdy, pragnienie odwetu, wołanie o ratunek (także Łużyczanie!). Dziś poczucie, że na tym wielkim obszarze, który tak dawno został nam zabrany, żyjemy — żyć będziemy!

Było bowiem tak, jak w wierszu Jakuba Ciszyńskiego „Krwawe wspomnienia", z górnołużyckiego przetłumaczonym na język polski przez nieodżałowaną Julię Wieleżyńską, że **„w bezsile** pod Budziszynem łkała Sprewa" — i **w bezsile** cierpiał nasz Śląsk Opolski i ziemie nadbałtyckie... A dziś, żołnierz nasz wespół z żołnierzem najbliższego nam na wschodzie słowiańskiego narodu ratuje braci zachodnich!

W czasie wojny wykończyłam powieść fantastyczną **„Kołowrót czasu".** Poruszyłam w niej szereg aktualnych tematów i ich rozwiązania. Drugą naszkicowałam — tytuł: **„Samotność wieczna".** Przypatruję się w niej życiu współczesnej rodziny w atmosferze demoralizacji, jaką stworzyła okupacja. Poza tym dwa tomy wierszy. Częściowo rzeczy te przepadły, odnalazłam jednak strzępy w piwnicy, zasypanej papierami, fotografiami, należącymi do mieszkańców całej „naszej" kamienicy. Trzeba będzie nad tymi strzępami dobrze popracować, by im nadać skończony kształt.

Dziś cieszę się, że swym nowym wierszom będę mogła dać tytuł **„Zwycięstwo".**

Wypędzenie zbrodniarzy Niemców i wejście radzieckich wojsk, tak ważna niesłychanie dla naszego narodu chwila zwraca na naszej ziemi godność pojęciu „człowiek". Wielkość tej godności będzie rosła z biegiem lat. Nic natomiast nie zmyje hańby Majdanka, Oświęcimia, Dachau — i tylu innych jeszcze „obozów" z pojęcia „Niemiec". Nie zmyją pamięci o niej nawet tysiąclecia historii!

Janina Brzostowska

*) Por. odpowiedzi H. Boguszewskiej, T. Czyżewskiego, J. Kornackiego, T. Kudlińskiego, J. Kydryńskiego, H. Malewskiej, H. Mortkowicz-Olczakowej, J. G. H. Pawlikowskiego i E. Szelburg-Zarembiny, J. Zawieyskiego w nr nr 19—23 „Odrodzenia".

Mieszaniny

Byłem na dancingu. Mógłbym napisać, że poszedłem tam tylko po to, żeby ze wstrętem obejrzeć a potem opisać i skarcić, ale nie — poszedłem się zabawić. Jestem zwolennikiem zabaw zbiorowych, chętnie wypiję czasem kieliszek lub półtora kieliszka wódki i bardzo pięknie tańczę, o czym nawet napisali raz w gazecie.

Przed wojną ten styl zabaw nocno-dancingowych był szeroko rozpowszechniony. Parę razy na tydzień, a już obowiązkowo w soboty spotykała się ze sobą Warszawa w Café Clubie, Adrii lub Bristolu, względnie we wszystkich tych lokalach jednocześnie i hulała do białego rana. Można było tam spotkać przedstawicieli wszelkich zawodów, sfer, ugrupowań i orientacji politycznych i niepolitycznych.

Zaczynało się niezwykle wykwintnie. Jaroszewicz, Wieniawa i Beck siedzieli w loży, pili spokojnie szampana i udawali, że przyszli tylko z obowiązku na skutek jakichś konieczności dyplomatycznych i że się bardzo nudzą. Literaci i aktorzy stali z godnością i nonszalancją przy barze pijąc wodę sodową z taką miną jakby wpadli tylko na chwileczkę, a ukradkiem wypatrywali hrabiów i bogatych przemysłowców. Młodzi architekci w butach robionych na obstalunek, szerokich marynarkach i kolorowych krawatach, tańczyli z koleżankami usiłując przybierać pozy plastyczne. Gold i Petersburski grali wykwintne bostony, a katastrofiści ukrywali się po ciemnych kątach z wyrazem twarzy: „oj, źle się to skończy, źle!" Ale bardzo szybko pękały nieczułe lody, opadały maski, wszelkie zawody, sfery, ugrupowania i orientacje mieszały się ze sobą w jeden wielki bachiczny bełkot. Już o północy Beck tańczył w damskim kapeluszu kankana z ambasadorem von Moltke, Jaroszewicz grał na bębnie, a Wieniawa udając konia łaził na czworakach po parkiecie i gryzł w łydki znajome i nieznajome panie. („Cóż za wdzięk, cóż za lekkość i francuską perlistość dowcipu posiada ten człowiek!") Hrabiowie i bogaci przemysłowcy stawiali przy barze wódkę literatom i aktorom. Młodzi architekci zdjąwszy marynarki tańczyli tańce ludowe, Gold i Petersburski grali wszystko co kto chciał jednocześnie w rytmie rumby, a katastrofiści wziąwszy się za ręce tańczyli mazura przyśpiewując wesoło:

Źle się skończy, źle,
Śmiejmy się, śmiejmy się,
Kto wie, kto wie,
Czy świat potrwa trzy tygodnie.
Hop, dziś, dziś, oj dana!

Wspominałem to wszystko parę dni temu na dancingu w Krakowie i doszedłem do przekonania, że musiało się chyba coś na świecie zmienić, bo nie zauważyłem ani Jaroszewicza, ani Wieniawy, ani Becka. Hrabiowie i przemysłowcy dawno już nie stawiają wódki literatom, młodzi architekci pracują w BOSie, a katastrofiści pisują optymistyczne artykuły do „Odrodzenia". Nie wiem, czy zmianę tę dostrzegli liczni, głupawo rozbawieni i bezmyślnie podrygujący na parkiecie w przedwojenny rytm, goście owego dancingu. Raczej wątpię. Przyszli tam odetchnąć na chwilę po ciężkim dniu pracy spędzonym na szabrze i pasku. Trudno od nich wymagać, żeby mieli jeszcze głowę na to, aby dostrzec czy jest Jaroszewicz czy nie i co się w ogóle dzieje na świecie.

Ten dancing wraz z podrygującymi tępo bywalcami sprawia wrażenie czegoś niepomiernie anachronicznego i w nowej epoce trupio martwego. Jest to przemytnik głupoty i bezmyślnego marnotrawstwa, któremu udało się w Nowe Czasy przekraść przez granicę postępu. Ta głupota, bezmyślność i marnotrawstwo wymalowane są wyraźnie na twarzach dancingowych bywalców.

Nie zabawiłem się tym razem na dancingu. Wyszedłem bardzo szybko i nie wrócę tam więcej. Chcę czasem zabawić się, popić wesoło i potańczyć, ale dla tego celu nie mogę odbywać aż tak dalekiej podróży w przeszłość rozegraną już i martwą.

Będę czekał aż i ta dziedzina życia oblecze się w formy świeże, zdrowe i żywe.

Stanisław Dygat

Jan Rubczak: „Kościół św. Seweryna w Paryżu".

Teatry krakowskie

Głód doznań teatralnych, odczuwany dotkliwie przez najszersze warstwy społeczeństwa, wyraził się bezpośrednio po odzyskaniu niepodległości przez natychmiastowe wskrzeszenie dawnych i organizowanie nowych placówek teatralnych. Działo się to dzięki wydatnej pomocy i zrozumieniu ze strony Rządu, pod opieką Ministerstwa Kultury i Sztuki. W Krakowie powołano do nowego życia **Teatr Miejski im. J. Słowackiego** (dyrekcja: Karol Frycz i Eugeniusz Bujański), oraz **„Stary Teatr"** przy pl. Szczepańskim, pod kierownictwem Jerzego Ronarda Bujańskiego. Oprócz tego odbyła się pierwsza premiera **„Teatru Rapsodycznego"** Mieczysława Kotlarczyka, placówki, powstałej w czasie okupacji na zebraniach konspiracyjnych. Zapowiedziano wreszcie stworzenie teatru eksperymentalnego pod nazwą **„Groteska"**, mającego być równocześnie teatrem aktora i marionetki. „Groteskę" poprowadzi Władysław Jarema. Poza tym czynne są w Krakowie trzy **szkoły dramatyczne,** a mianowicie: studio „Starego Teatru", studio dramatyczne Iwo Galla, oraz szkoła dramatyczna przy Teatrze Miejskim.

Krakowskie życie teatralne tętni wzmożonym rytmem. Sprawia to zarówno entuzjazm aktorów, którym dano możność wykonywania zawodu, jak i zadowolenie publiczności, wypełniającej szczelnie widownię. Napływ kandydatów do szkół dramatycznych jest tak wielki, że przewyższa wielokrotnie możliwość przyjęcia.

Teatr im. J. Słowackiego rozpoczął przedstawienia „Przepióreczką" Żeromskiego, w reżyserii i z udziałem J. Osterwy. Następne premiery, to dwa spektakle fredrowskie: „Damy i huzary" i „Zemsta", wreszcie „Dziewczyna z lasu" Jerzego Szaniawskiego. Reakcja krytyki na owe cztery premiery była bardzo ożywiona. Zastanawiano się nad zagadnieniem stylu, a zwłaszcza nowego stylu w teatrze, nad kwestią linii repertuaru, nad grą aktorów. Wynikały stąd pewne nieporozumienia. Nie wchodząc w ich przyczyny, należy stwierdzić: 1. teatr im. J. Słowackiego jest — jeżeli idzie o zespół aktorski — najlepszy jaki posiadamy w tej chwili w Polsce; 2. kwestii stylu, repertuaru itd. nie sposób rozwiązać „od ręki" i nie można krytykować jej na podstawie pierwszych przedstawień, tak samo, jak nie można wyrazić zdania o jakiejś książce na podstawie kilku kart pierwszego rozdziału. Można więc zajmować się każdym spektaklem z osobna, bez wyciągania na razie zbyt ogólnych wniosków. „Damy i huzary", „Zemsta" ze znakomitym duetem aktorskim: Solski—Leszczyński i „Dziewczyna z lasu", były dobrymi przedstawieniami. Ciekawe są perspektywy teatru na najbliższą przyszłość. Zapowiedziano będącą już w próbach „Penelopę" L. H. Morstina, oraz sztukę pisarza radzieckiego K. Simonowa „Rosjanie". Kierownictwo literackie teatru objął Leon Kruczkowski.

„Stary Teatr" po prapremierze dramatu J. Zawieyskiego „Mąż doskonały", dał dobrze znaną sprzed wojny „Teorię Einsteina" Cwojdzińskiego. W próbach jest „Dzień jego powrotu" Z. Nałkowskiej. „Stary Teatr" walczy z dużymi trudnościami, więc można mu wybaczyć odstępstwo od zasady, jaką sam sobie postawił, tj. wystawiania wyłącznie prapremier młodych autorów polskich. Ale odstępstwo nie powinno z kolei przechodzić w zasadę. Zespół aktorski „Starego Teatru" dobrany jest starannie. Reżyserują: J. Osterwa i J. R. Bujański.

„Teatr Rapsodyczny" M. Kotlarczyka nie jest teatrem w ścisłym znaczeniu tego słowa. Jest zespołem recytatorów i ma rację bytu i sens pracy. Pierwszy wieczór recytacji, na który złożyły się fragmenty mickiewiczowskiej „Grażyny" i „Konrada Wallenroda", oraz „Zawiszy Czarnego" Słowackiego, usprawiedliwił powstanie placówki.

„Groteska" Jaremy rozpocznie przedstawienia w najbliższym czasie widowiskiem pt. „Cyrk Tarabumba".

Juliusz Kydryński

Martyrologia artystów

Dwa razy podczas okupacji niemieckiej Kraków był zaatakowany przez pruską brutalność i barbarzyństwo w dwu najbardziej czułych punktach tj. w nauce i sztuce.

Bez sądu, bez dochodzeń, bez dowodów winy znęcać się nad ludźmi niewinnymi, to czyn godzien barbarzyńcy hitlerowskiego, który w swym sadystycznym instynkcie nie zna hamulca. Przecież ci Niemcy-oprawcy to może potomkowie słynnych Kaulbachów, Schwindów, Adamów, wielkich „profesorów", członków pruskich lub monachijskich Akademii Sztuk Pięknych, do których po wiedzę i wzory jeździli nasi malarze z końca XIX wieku, obałamuceni niemiecką blagą. Ci, co zawsze zatruwali złym smakiem i brakiem umiaru naszą kulturę — teraz jako gwardia Hitlera przyszli do nas z rewolwerem, granatem i gazem trującym.

Aby uczcić pamięć kolegów męczenników, Związek Polskich Artystów Plastyków urządził wystawę prac tych, którzy zginęli w Oświęcimiu i innych kaźniach. Mimo, że jest urządzona nieco chaotycznie, wystawa przedstawia się interesująco.

Czterej artyści, których prace oglądamy na niej, rysują się jako silne indywidualności. Należy do nich przede wszystkim rzeźbiarz **Ludwik Puget,** który kształcił się długi czas na wzorach sztuki zachodniej w Paryżu. Jako rzeźbiarz był Puget w Polsce jedynym może animalistą tj. rzeźbiarzem zwierząt, których formę i ruchy umiał znakomicie przedstawić. Pamiętam z jednej z wystaw jeszcze przed wojną jego świetną „Głowę barana" i „Leżącą lwicę". Na wystawie w Związku Plastyków podziwiamy jego bronz pt. „Barany", pełen umiaru i dobrze zaobserwowanego ruchu. Puget zasługuje, aby w przyszłości zająć się poważnie jego twórczością i urządzić wystawę zbiorową jego prac. Dałaby ona możliwość poznania rzeźbiarza naprawdę pierwszorzędnego.

Jan Rubczak, też długoletni mieszkaniec Paryża, przedstawia się na wystawie jako malarz, a przede wszystkim jako wybitny grafik. Rubczak jest mistrzem w akwaforcie. Jest to, można powiedzieć, zdecydowany klasyk; jego umiar, powściągliwość w wyborze środków podziwiamy na przykład w akwaforcie „Kościół św. Seweryna w Paryżu". Jako malarz Rubczak jest mniej zdecydowaną indywidualnością. Wpływ, jaki wywarł na niego impresjonizm i postimpresjonizm francuski, to właściwie „cudze piórka", nic nie mające wspólnego z jego talentem grafika. Toteż mimo kilku udatnych obrazów, jak np. „Pont Neuf w śniegu" lub „Pejzaż z Colhoure", dzieła jego więcej ukazują go nam jako znakomitego grafika niż malarza.

O wiele bardziej od Rubczaka zdecydowanym kolorystą w malarstwie był zamordowany również w Oświęcimiu **Jerzy Makarewicz.** Na wystawie widzimy 13 jego prac olejnych, gwaszów i pasteli. Dla Makarewicza farba, szczególniej olejna jest zawsze podatnym materiałem. Duże wrażenie zrobił na mnie jego wielki olejny obraz „Ogrody". Jest to dzieło znakomicie reprezentujące najmłodsze nasze malarstwo i powinno się znaleźć w jednym z naszych muzeów.

Alojzy Majcher, uprawiający tylko grafikę, ukazuje się na wystawie jako pierwszorzędny akwaforcista. Doskonały rysownik i znakomity technik w tak subtelnym i trudnym materiale jak akwaforta i miedzioryt, umie wywoływać szlachetne efekty za pomocą samej linii a także soczystych walorów (białe-czarne). Jego prace „Kompozycja" i „Kobieta z gęsią" to dzieła nieprzeciętne.

Rzeźby **Stefana Zbigniewicza, młodego i dobrze** zapowiadającego się artysty, obrazy **Kazimierza Chmurskiego** i **Stefana Filipkiewicza** mają dużo zalet plastycznych. Szczególnie dobrze zapowiada się jako kolorysta Chmurski. Prace innych artystów, jak **Schinagel, Seidemannowa, Palczewski, Dadlez, Korotkiewicz, Zakrzewski, Majchrzak, Różycki, Raynoch, Giza Ważykowa,** są pokazane w tak skromnej ilości (po jednej lub dwie prace), że napisanie o nich szerszego studium jest rzeczą niemożliwą.

Wszyscy byli prawdziwymi artystami i padli na posterunku. Pamięć o nich jako o bohaterach pozostanie na zawsze w historii naszej sztuki.

Tytus Czyżewski

Redaktor: Karol Kuryluk. — Adres redakcji: Basztowa 15, m. 8. tel. 593-28 i 507-12. — Adres administracji: Wielopole 1, tel. 545-60-62. — Drukarnia Narodowa w Krakowie.
Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".
M — 01537